

Rok IV.
Kraków, d. 27 listopada 1910 r.
Nr. 48.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

W narodowe święto.

Dzień 29-ty listopada, to dzień narodowego święta. Nie może, nie powinno znaleźć się ani jedno polskie serce, któreby na jego wspomnienie nie zabiło goręcej. I niechaj bije! niech bije radością i dumą — i niech bólem drży!

Powstanie polskie z 1830 roku nazwać się godzi wojną polską. Bo mieliśmy jeszcze wojsko własne, i w tem właśnie wojsku upatrywaliśmy możność zwycięztwa. Wojsko polskie z owego czasu, to nasza chluba. I słusznie. Żołnierz był karny, wyćwiczony, szczęśliwy, że wolno mu służyć w polskim mundurze, pod polską komendą. Wodzów wielu pamiętało jeszcze świetne czasy Napoleona, umiało rozkazywać i słuchać, poświęcać się i wierzyć w zwycięztwo. Więc nadzieje były słuszne. Rzecz sama, chwila wybuchu, trzymana była w tajemnicy. Wprawdzie W. książę Konstanty, zastępca cara w Warszawie, szpiegował i podejrzywał, ale nie wiedział nikt. Aż wieczorem 29 listopada zapłonęła na niebie nad Warszawą łuna, był to znak umówiony. Trzy oddziały powstańcze rzuciły się równocześnie na pałac W. księcia, na arsenał i na koszary rosyjskie, żeby je opanować. Ale wojsko nie dało się wziąć i stanęło pod bronią; W. księcia nie pochwycono, bo ukryła go żona. I stało się, że zaraz pierwsze czyny powstania zaczęły się pod złą wróżbą.

Nie braknie mu jednak wielkich momentów. Wodzem obrano Chłopickiego; ten potrafił porwać wszystkie serca. Zapewne miał winy; zbłądził, gdy przed końcem złożył naczelne dowództwo, ale nie pamiętajmy mu tego w dniu dzisiejszym i wspominajmy tylko rany i kalectwo, które wyniósł z powstania. Rosya przysłała 100.000 wojska; jenerał Dybicz prowadził. »Grzmią pod Stoczkiem armaty«, do dziś dnia brzmią w pieśni, która opowiada, jak Krakusy sami, bez rozkazu, z własnej ochoty wpadli na rosyjskie armaty i rozstrzygnęli zwycięztwo. To jeden z najjaśniejszych dni. Białe sukmany blask swój rzuciły!

Zbliżała się stanowcza chwila. Nazwa bitwy pod Grochowem jest na wieki pamiętna, bo okryła chwałą polskiego żołnierza. 46 tysięcy biło się jak lwy; chodziło o zdobycie Olszynki, gdzie krzyżowały się drogi, któremi mogły nadciągnąć posiłki. Kto miał Olszynkę, miał pewność zwycięztwa. Tam legł cały oddział jenerała Żymirskiego, że ani jeden żołnierz się nie ostał; tam padł cały rosyjski pułk zwany niezwyciężonym, tam kula raniła Chłopickiemu obie nogi. Ale zato nieprzyjaciel się cofnął. »Wolałbym był zginąć, niż przeżyć to, co teraz dziać się będzie«, powiedział Chłopicki, niesiony przez wiernych żołnierzy. Armia została bez wodza. A jednak są jasne chwile sławy i nadziei; pod Wawrem rozbija Rybiński korpus jenerała Geislera; pod Dębem Wielkim pułkownik Bojanowski szeregi swoje z błota wyciąga, bo »Polacy nie kaczki, żeby w błocie siedzieli« — jak mówi — i uderza zwycięzko na stojących na wzgórzu Moskali.

Dawno nie widziała Polska tak radosnych świąt Wielkanocnych. Zdawało się że będzie można powtórzyć słowa, często za Napoleona słyszane: »Będzie Polska! co mówię? jest już Polska!« A przecież ma się pod koniec dzielnej drużynie. Bitwa pod Ostrołęką kosztowała nas 8.000 ludzi, 200 oficerów, 2 jenerałów. Odtąd potyczki już mniejsze: pod Młynarzami, Kowalem, Międzyrzeczem. Jeszcze odwaga trwa — ale wiary brak — i wodza. Na domiar złego, na Litwie nie udało się wziąć Wilna, w Warszawie przewrotni ludzie rozsiewali nieufność do wodzów i krwią bratnią ręce plamili. 7-go września 1831 Moskale zajęli Warszawę. Powstanie było skończone.

Ale siła owego narodowego czynu trwa, bo trwa pamięć ludzi dzielnych, bohaterskich wysiłków, nadludzkiego męztwa. Bo żyje myśl, która sprawia, że choć nie orężem, ale pługiem czy siekierą, pracujemy wszyscy dla tego samego celu, dla którego tamci życie dali!

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

1. Jarmark u bram Joppy.

Mur, okalający Jerozolimę od strony zachodniej, miał wielką dębową bramę, zwaną Betleemską, albo bramą Joppy. Tuż za jej wrotami był obszerny rynek. Za czasów Salomona prowadzono tam ożywiony handel; przybywali z towarami kupcy z Egiptu i innych dalekich krajów.

Już blizko trzy tysiące lat upłynęło od świetnej dla Jerozolimy epoki, a jednak dotąd znajdziesz tam wszystko, od szpilki do broni, od ogórka do wielbłąda, od daktyla do służącego. I teraz jeszcze, gdy rynek ten zaroi się ludźmi, łacno sobie przedstawić, czem był za czasów Heroda.

Podług obliczeń czasu Hebrajczyków, działo się to według naszego kalendarza, 25 go grudnia. Był to rok 747 od założenia Rzymu, 67-my życia Heroda Wielkiego, a 35-ty jego panowania nad Judeą.

Według zwyczaju Żydów, dzień rozpoczynał się ze wschodem słońca, świt oznaczał pierwszą jego godzinę. O tym czasie właśnie rynek u bram Joppy był najruchliwszym. Ludzie cisnęli się przez sklepione wejście na plac i prowadzące do miasta ulice.

Rzućmy okiem na barwny ten tłum, cisnący się do wrót. Oto przedstawia nam się pomieszanie dźwięków, barw i przedmiotów. Tu stoi osieł obładowany soczewicą, grochem, cebulą, właściciel jego piskliwym głosem zaleca swe warzywa; człowiek ten odziany jest w długą, przerzuconą przez ramię szatę z niebielonego płótna, na nogach ma sandały.

Opodal klęczy wielbłąd, uginając się pod ciężarem fig, jabłek, winogron i daktylów. Kilkanaście kobiet przysiadło pod murem, zachwalając w rodzimem narzeczu: »Miód słodki, miód!« zawarty w skórzanych butlach. Ubiegają ich zwykle chłopcy o śniadych twarzach, zwijający się wśród tłumu z bukłakami, zarzuconemi przez plecy na rzemieniu: »Kupujcie miód, kupujcie wino z En-Gadi!« — wołają na przechodniów, a gdy ich który zatrzyma, ze zwinnością małpy zdejmują bukłak z ramion, wlewając w nastawiony kubek napój soczystych jagód.

Niemniej natrętnymi są handlarze ptaków; gołębie, kaczki, słowiki powiększają gruchaniem, kwakaniem i śpiewem ten gwar i wrzawę ludzi i zwierząt. W tłumie tym, świadomi potęgi swego towaru, kroczą z godnością kupcy, sprzedający złoto i drogie kamienie, odziani w szkarłatne i niebieskie szaty, dźwigając na głowie ogromne, białe turbany; handlarze pachnideł, odzieży, przedmiotów potrzeby lub zbytku potrącają się, popychają swych współzawodników, schlebiając kupującym. Osły, krowy, barany, niezgrabne wielbłądy, ogniste rumaki, wszystkie zwierzęta domowe, oprócz wykluczonej prawem świni, spędzono tu na sprzedaż. Poza bramą miasta tenże sam barwny widok, tenże ruch i wrzawa, zdwojone większą, nie ograniczoną murami przestrzenią.

Takie to za czasów Heroda bywały jarmarki u wrót świętego miasta.

Obierzmy sobie miejsce przy bramie, nad brzegiem łączących się strumieni. Oto zbliża się dwóch ludzi, należących widocznie do uprzywilejowanego stanu.

— Brr! zimno! — zawołał jeden z nich, rycerz wspaniałej postawy, w zbroi i w błyszczącym hełhełmie. — Prawda, że zimno, Kajusie? Na Plutona [1]), ja tu zamarznę!

[1]) Pluton, bóg rzymski podziemny.

— Hełmy legionów [1]), które pokonały Sarmatów pokryte były grubą warstwą śniegu, oni wtedy przyzwyczajeni byli do zimna — odrzekł mu z ironicznym uśmiechem towarzysz — ale ty, biedny mój przyjacielu, wracasz teraz z Egiptu, w żyłach twych płonie ogień tego kraju.

Mówiąc te słowa, przekroczyli dębowe podwoje i choć już dalej szli w milczeniu, zbroja i ciężki chód zdradzały odrazu rzymskich rycerzy.

Z tłumu wysunął się naprzód chudy, zgarbiony żyd w brązowej szacie; kędziory rozczochranych włosów spadały mu w nieładzie na twarz i plecy. Po drodze witano go głośnymi śmiechami, był to bowiem — Nazareńczyk. Sekta ta, odrzuciwszy księgi Mojżesza, przyjęła dziwaczne śluby, a między innemi nieobcinanie brody i włosów; to też członkowie jej, pogrążeni w niechlujstwie, byli przedmiotem naigrawań motłochu.

Teraz u Joppejskiej bramy ukazuje się człowiek o pięknej, śniadej twarzy. Biały płaszcz, zdobny w bogate hafty, spływa mu z ramion, podtrzymywany około bioder złotą przepaską. Postawa jego jest spokojna, a uśmiech błądzi po jegu ustach. Na widok tej pięknej postaci falujący tłum zbija się nagle, z tysiąca piersi wychodzą namiętne złorzeczenia. Czemuż to? Ha, to zapewne trędowaty? — Nie, człowiek ten jest Samarytaninem. Szaty jego nie dotknąłby się umierający Izraelita, gdyby nawet dotknięcie to miało mu przywrócić życie.

I znowu uwaga pospólstwa zwróciła się w innym kierunku. Tym razem u bramy ukazało się trzech ludzi, niezwykle silnej budowy ciała, o cerze przeźroczystej, niebieskich oczach i jasnych włosach. Wełniane tuniki [2]), lekko spięte w pasie, obnażały potężną pierś i muskularne ramiona. Tłum z szacunkiem i zdziwieniem ustępował im z drogi. To gladyatorowie [3]) — siłacze nieznani w Judei przed rzymskim najazdem, dla których Herod, chciwy krwawych igrzysk, wzniósł przepyszne cyrki, sprowadzając zapaśników z końców świata.

— Na Bachusa! [4]) — wołał jeden z siłaczy, podnosząc w górę swą pięść potężną. — Na Bachusa! Czaszki tych ludzi nie grubsze od skorupy jaja!

Słowom tym towarzyszyło groźne wejrzenie.

Po przeciwnej stronie stoi stragan z owocami. W plecionych koszach Cypryjczyk [5]) poukładał zręcznie migdały, winogrona, figi i granaty.

— Co tam masz? — spytał go, przechodząc, młody śpiewak grecki. — Jestem głodny jak pies uliczny; dawaj co masz.

— Owoce wprost z Pedius; najsławniejsi śpiewacy spożywać je zwykli co rano, dla odświeżenia gardła — odparł przekupień piskliwym głosem. — Zjesz może daktyla?

— O nie, przecie nie jestem Arabem.

— Weź figę.

— I tej nie chcę. Wziętoby mnie za żyda. Daj mi winogron.

Lecz oto nowa postać ściąga ruchliwą uwagę tłumów. Powoli, z głową spuszczoną na piersi, ze skrzyżowanemi, jak do modlitwy, rękoma, twarzą chudą, krokiem cichym i lękliwym, postępował jakiś człowiek. Po bogatej szacie, przybranej w złotą frendzlę, również jak i po wiejącej w całej postaci rzekomej świątobliwości poznać było można Faryzeu-

[1]) Legion, pułk wojska rzymskiego.

[2]) Szata rzymska, rodzaj płaszcza bez rękawów, zarzucona na lewe ramię, resztą opasująca ciało.

[3]) Gladyatorowie, siłacze, którzy walczyli na igrzyskach publicznych.

[4]) Bachus, rzymski bożek pijaństwa i rozkoszy.

[5]) Cypr, wyspa słynna z dobrych win i owoców.

sza, członka sekty, której fanatyzm miał światu wyrządzić tyle złego.

Większa jeszcze ciżba niż w murach panowała za bramą, na drodze do Joppy. Arabowie prowadzili na sprzedaż ogniste rumaki, wywołując ich zalety donośnym i przeraźliwym głosem.

I tak, aż do południa, tłum napływał ustawicznie przez bramę Joppejską.

2. Marya i Józef w drodze do Betleem.

Dochodziła trzecia z południa. Ciżba zmniejszała się u bram Joppy, gdy stanął w nich poważny człowiek z długą czarną brodą i kobieta z zasłoniętą twarzą na ośle. Mężczyzna miał lat około pięćdziesięciu, oblicze pogodne, znamionujące szlachetność charakteru. Po ubiorze poznać w nim było można Żyda; ubiór ten był czysty, widocznie odświętny. Siedząca na ośle niewiasta odziana była w ciemną wełnianą szatę, ujmującą jej postać w grube fałdy.

— Czy nie jesteś Józefem z Nazarei? — zagadnął nowo przybyłego stojący obok Żyd.

— Tak mnie zwą — rzekł Józef, odwracając się ku mówiącemu. — Ah! wszak to rabi Samuel, pokój niech będzie z tobą, mój przyjacielu!

— Niech życzenie to skieruje się ku tobie!...

Tu, spoglądając na niewiastę, dodał:

— I ku twojemu domowi i rodzinie. Odzieży waszej nie pokrywa pył podróżny. Czy macie przed sobą długą drogę?

— Jedziemy do Betleem.

Słysząc te słowa, oblicze rabi Samuela pokryło się chmurą smutku.

— Tak, tak, rozumiem. Urodzony jesteś w Betleem i rozkaz Cezara wzywa cię tam wraz z córką. Rzymianie wciągną cię w spisy ludności wielkiego swego państwa.

— Niewiasta nie jest moją córką — przerwał Józef.

Lecz rabi, przejęty swoją myślą, nie zważając na to objaśnienie, zapytał:

— Cóż robią Zelanci [1]) w Judei?

— Jestem ubogim cieślą. Mieszkam w Nazaret, małej mieścinie; ulica, przy której stoi moje domostwo, nie jest wiodącym do wielkich miast gościńcem. Ciosam i hebluję drzewo, nie wchodząc w walki stronnictw.

— Lecz jesteś Żydem — mówił rabi z powagą — Żydem z rodu Dawidowego. Czyż krew twoja nie oburza się, gdy płacisz wrogom? My, Żydzi, powinniśmy składać tylko oznaczony zakonem szekel [2]) dla Jehowy.

Józef milczał.

— Nie skarżę się — mówił dalej Samuel — na wysokość podatku. O, nie! Denar, to marny pieniądz. Sam fakt nałożenia na nas podatków, jest zniewagą. Płacąc je, uginamy karku przed tyranią. Powiedz mi, czy prawdą jest, jakoby Judasz podawał się za Mesyasza?

— Słyszałem istotnie, jak uczniowie jego utrzymywali, że jest Mesyaszem.

W tej chwili kobieta uchyliła rąbka zasłony. Rabi Samuel zwrócił ciekawie oczy swe w tym kierunku i dojrzał, iż była to twarz młoda, urodziwa i pełna niewymownej słodyczy; lecz nie mógł przyjrzeć się jej do woli. Zasłona spuściła się znowu.

— Córka twoja jest piękna — rzekł głosem przyciszonym.

— Niewiasta nie jest moją córką — odparł Józef.

Ciekawość poważnego polityka została podniecona, co widząc Nazareńczyk, mówił dalej

— To córka Joachima i Anny z Betleem. Słyszałeś o nich zapewne, sława ich bowiem rozeszła się w dalekie strony.

— Tak — odparł rabi z wielkim szacunkiem. — Znam ich. Pochodzą w prostej linii od Dawida. Znałem ich dobrze.

— Dziś oboje już umarli. Joachim nie był bogaty, pozostawił jednak dom z ogrodem do podziału między dwie córki: Maryannę i Maryę. Oto właśnie jedna z nich. Dla zachowania należącej jej ojcowizny, musiała, według zakonu, poślubić najbliższego krewnego. Jest obecnie moją żoną.

— A byłeś przedtem?...

— Jej wujem.

— Tak, tak, rozumiem; a że oboje jesteście rodem z Betleem, Rzymianie kazali wam się tu stawić do spisu.

Rabi wzniósł groźną pięść ku górze.

— Lecz Bóg Izraela jest potężny. Zemsta Jego za krzywdę naszą będzie straszna!

I wypowiedziawszy te złowróżbne słowa, oddalił się szybkim krokiem.

— Rabi Samuel należy do »gorliwych« — objaśnił zdumionego tem zachowaniem Józefa, przysłuchujący się tej rozmowie Izraelita. — Sam Judasz nie jest od niego zapaleńszym.

Józef, nie życząc sobie wchodzić w rozmowę z obcym człowiekiem, udał, że nie słyszy i pogoniwszy osiołka, puścił się z małżonką w dalszą drogę. Za chwilę byli już poza bramami świętego miasta, na drodze do Betleem.

A była to droga urwista. Po lewej stronie, naokoło góry Syonu wznosiły się mury Jerozolimy, po prawej prostopadłe wzgórza zamykały dolinę od zachodu. Słońce oblewało potokami światła skalistą okolicę, ważnemi zaznaczoną dziejami; pod wpływem jego promieni Marya, córka Joachima, podniosła zupełnie zasłonę, odkrywając cudną twarz.

Nie miała ona więcej nad lat piętnaście. Oblicze jej, głos i całe zachowanie zdradzały, iż z dziewczęcia przekształciła się niedawno w niewiastę. Twarz miała podłużną, przedziwnej czystości linii, cerę bladą, oczy duże, niebieskie, ocienione długą rzęsą; jasne jej włosy, zwyczajem przyjętym u oblubienic Izraela, spadały na ramiona. Do wdzięku rysów i postawy łączył się inny, nie ujęty w słowa. Wiała od tej Panienki niepokalana czystość duszy, przebywającej częściej w krainach zaziemskich, niż na tym padole. O, bo często usta jej szeptały w zachwyceniu słowa, niedostępne dla innych i często oczy zwracały się ku niebu, widząc to, czego nie widzieli oni.

Od czasu do czasu, wśród rozwlekłego opowiadania, Józef obracał się, aby na nią spojrzeć i wobec niebiańskiego blasku, bijącego od tej postaci, zapominał o swym przedmiocie i w milczeniu i zachwycie szedł dalej.

I tak, postępując wzdłuż rozległej równiny, doszli wreszcie do wzgórza Mar-Elias. Widać z niego było Betleem całe, stary starożytny »Dom Chleb«. Po krótkim wypoczynku spuścili się w dolinę, gdzie był cel ich podróży. Im bardziej zbliżali się ku niemu, tem więcej spotykali ludzi, dążących w tym samym kierunku i Józef począł się obawiać, czy znajdzie schronienie, gdzieby słodka Marya mogła wypocząć po niewywczasach podróży.

Aż zatrzymali się wreszcie przed wrotami stojącej na rozstajnych drogach u wejścia do Betleem gospody.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Stronnictwo żydowskie polityczne, przeciwne panowaniu rzymskiemu.

[2]) Szekel, pieniądz żydowski, denar, pieniądz rzymski.

Z pięknych chwil 29 listopada 1830 r.

Ośmdziesiąt lat minęło
Od chwili, gdy się zaczęło
Sławne powstanie Polaków
Dzielnych braci Warszawiaków.

Tajnego związku narada
W dzień pamiętny listopada
Takie hasło umówili:
Stary browar podpalili.

Kiedy łunę zobaczono,
Na Belweder uderzono:
Chciano pojmać Konstantego
Księcia z całym sztabem jego.

Książe, bardzo przestraszony,
Do pokoju uciekł żony.
Słudzy go wyprowadzili
I na konia posadzili.

A powstańcy w takiej chwili
Na koszary uderzyli...
Lecz jazda pod broń stanęła
I naszym odwrót odcięła.

Sto sześćdziesiąt!... garstka mała...
Byłaby nie podołała
Trzem pułkom rosyjskiej jazdy.
Chociaż z nich był dzielny każdy!

Na prędce plan uradzili —
Przez jazdę się wnet przebili
Odbyli marsz o swych siłach,
Mając trzy pułki na tyłach.

Uchodząc przed silną pogonią,
Kiedy do miasta przybyli
Zajęli arsenał z bronią
I lud cały uzbroili.

Wszyscy za broń chętnie brali,
Tylko wodza nie dostali,
Bo Chłopicki gdzieś się schował
I z miejsca wszystko popsował.

W poniedziałek się zaczęło,
Rok walk krwawych przeminęło,
Lecz z wyroków Pana Boga,
Nie zmożono wtedy wroga!

Bo przybyły roty świeże...
Paszkiewicz Warszawę bierze...
Z trzystu dział w miasto strzelali —
Powstańców z wałów żegnali.

Garstka chowa się w kościele
Z dzielnym Sowińskim na czele.
Do ostatka się bronili.
Aż Moskale drzwi wybili.

— „Pardon krzycz!" — zdaleka woła,
Stanąwszy w progu kościoła,
Oficer wojska rosyjskiego
Chcący pojmać Sowińskiego.

Sowiński się poddać nie chce —
Moskalowi przebił serce,
Mówiąc: — „Taki pardon daję!
Tylko Bogu się poddaję!

Gdy to wyrzekł, w tejże chwili
Moskale go zastrzelili.
Z jego śmiercią Polska cała
Smutnych chwil się doczekała.

Lecz nie tracić nam nadzieje,
Jeszcze wolność zajaśnieje,
Bo Bóg łaskaw — On to sprawi,
Że Ojczyznę naszą zbawi!

Wincenty Cechowy,
włościanin z P.

ADAM MICKIEWICZ

W 55-tą rocznicę zgonu.

Na brudnem przedmieściu Pera w Konstantynopolu, tureckiej stolicy, umierał Adam Mickiewicz.

Największemu poecie polskiemu, jednemu z największych synów ojczyzny, nie dał Bóg skonać na własnej ziemi. Tak, jak i nie dał mu w ojczyźnie życia przepędzić. Znać, potrzebnem było, aby On właśnie cierpiał najsroższą tęsknotę — i z niej ofiarę uczynił.

Młodzieńcem 25-letnim, jako uczeń uniwersytetu wileńskiego, Mickiewicz najniesłuszniej dostał się do więzienia. Po pół roku pozwolono mu je opuścić, lecz skazano na zamieszkanie w Rosyi. I odtąd zaczyna się wędrówka poety. Przerzucony z Petersburga do Odessy, z Odessy do Moskwy, otrzymuje wreszcie paszport na wyjazd za granicę. Jedzie do Rzymu, a w kilka miesięcy później dochodzi go wiadomość o powstaniu (29 listopada 1830 r.). Spieszy do kraju, lecz nie zostaje puszczonym przez granicę — i udziału w walce o wolność nie bierze. Razem z wychodźcami, którzy, chcąc uniknąć kary za powstanie, gromadnie kraj opuszczali, jedzie do Drezna (w Saksonii), potem do Paryża. I tutaj pozostaje na stałe. Z bólem serca patrzy na dolę wychodźców, na różne stronnictwa i wzajemną niezgodę — nieraz sam niedostatek cierpi — i pociechę znajduje jedynie w pisaniu. Tu powstał jego cudny poemat p. t. »Pan Tadeusz«, gdzie w przedmowie powiada:

»O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
»żeby te księgi zbłądziły pod strzechy
»i żeby wzięły wieśniaczki do ręki
»te księgi proste, jako ich piosenki«.

Aż wreszcie przychodzi chwila, w której zdaje się, że można pomyśleć o odbudowaniu Polski. Wybuchnęła bowiem wojna turecko-rosyjska, sprzymierzeńcem Turcyi zaś była Francya. Sądzono, że po pobiciu Rosyi dwa tamte państwa pomyślą o Polsce. Trzeba było zatem pomagać Turcyi, by na jej wdzięczność zasłużyć. Myśl ta musiała porwać Mickiewicza; jemu pisanie wydawało się czemś tak drobnem! on chciał mieczem służyć ojczyźnie! A przytem potrzeba było kogoś, ktoby zachęcał przykładem, ktoby w narodzie drogi był i bliski. Mickiewicz pojechał do Konstantynopola urządzać pułki polskie i w dwa miesiące później umierał na cholerę. Przy łożu poety byli jego towarzysze i przyjaciele: ks. Ławrynowicz i Henryk Służalski. Gdy go zapytali, czy nie ma jakiego polecenia dla dzieci, rzekł cicho: »powiedz im, niech się kochają zawsze«. Od tej chwili bóle wzmogły się, ks. Ławrynowicz udzielił ostatniego namaszczenia i o godzinie 8·40 wieczorem wielka dusza Adama stanęła przed Bożym tronem. Ciało poety po śmierci jeszcze odbywało wędrówkę tułaczą: najpierw przewieziono je do Paryża, skąd po latach wielu, 4 lipca 1890 r. sprowadzono na Wawel, do osobnej krypty. I mamy go teraz między sobą; możemy często chylić głowę u tej trumny, z której bije moc i siła, choć tylko prochy zawiera. Bo zostały po Mickiewiczu jego pisma, które są nam pociechą, otuchą, ukochaniem. Pisma, które mówią, że jesteśmy, że żyjemy, skoro śmy wydali takiego męża. Pisma, które mówią nam, jak kraj kochać mamy, pisma, które wskrzesiłyby Polaków, gdyby kiedykolwiek zginąć mieli. Więc idźmy na Wawel i podziękujmy Adamowi Mickiewiczowi za jego życie pełne trudu, za pisma pełne miłości, i rzućmy mu na trumnę to czego pragnął najwięcej:

wianek rękoma wieśniaczki usnuty
z modrych bławatów i zielonej ruty.

poznajmy go wszyscy — i pokochajmy.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

38.

Po nieszczęśliwej bitwie Maciejowickiej, gdy Kościuszko został wzięty do niewoli i zawieziony z wielu Polakami do Petersburga, wszyscy upadać zaczęli na duchu. Wojska choć było jeszcze 30 tysięcy, które mogło dobrze stawić się nieprzyjaciołom, po stracie dowódcy wszelką nadzieję obrony postradało; każdy myślał tylko, jakby umyć ręce od wszystkiego i wynieść się gdzie za granicę. Na Warszawę padła tedy ostatnia trwoga, gdy srogi Suwarow w 50 tysięcy wojska zbliżył się pod Pragę, którą tylko Wisła od Warszawy oddziela.

Przedmieście to miało wprawdzie okopy i warownie i liczną załogę żołnierza, ale cóż, kiedy rozpacz i zwątpienie opanowały serca.

Na Pradze dowodził Polakami jenerał Zajączek, który źle zrobił, że się dał Moskalom blisko podsunąć pod okopy. Oni też z tego skorzystali i pędem wskoczyli na wały i mury, tak że już nie było sposobu z dział do nich walić. Widząc takie nieszczęście, trzej jenerałowie: Jasiński, Grabowski, Korsak, bronili Moskalom przystępu do upadłego i wszyscy na murach polegli.

Nic to jednak nie pomogło! Dzikie żołdactwo wpadło tłumem, podkładając ogień pod domy, zabijając nietylko żołnierzy, ale nawet kobiety i starców, a małe dzieci roztrzaskiwało głowami o mury, lub nawdziewało na spisy. Robili oni, co im Suwarow rozkazał, to jest pohulali sobie w krwi polskiej, która strumieniami płynęła do Wisły. W okropnej tej rzezi legło 21 tysięcy ludzi.

W całej Polsce rozpoczęło się teraz okropne prześladowanie tych, co pierwsi broń podnieśli; porywano ich, pędzono na Sybir, zamykano po więzieniach, słowem, każdy dobry Polak musiał znosić najsroższe męczarnie za to, że chciał, aby jego ojczyzna była wolną i szczęśliwą.

Trzej sąsiedzi nasi za karę, że Polska chciała być wolną, postanowili ją rozebrać zupełnie. Rosya wzięła Litwę, Austrya Kraków i Lubelskie a Prusacy zajęli Warszawę.

Król Stanisław dopiero przekonał się, jak nierozumnie zrobił, zdradzając naród i wierząc swoim nieprzyjaciołom. Odebrał rozkaz, aby z Warszawy natychmiast przyjechał do Petersburga, gdzie dano mu pałac na mieszkanie, dano mu jeść i pić, pozwolono nawet królem się nazywać, ale królestwa już nie było! Tam umarł w trzy lata po trzecim rozbiorze Polski w 1798 r.

Wielu wojskowych i prawych obywateli, chcąc ujść prześladowania i więzienia w rozerwanej Ojczyźnie, udało się za granicę, do Francyi, do Włoch i innych krajów. Jenerał Dąbrowski, zawołany wojownik w czasie powstania Kościuszki, prosto pojechał do Paryża i tam rząd francuski zaczął namawiać, aby ujął się za nasze krzywdy i utworzył wojsko z Polaków tułających się. Wojsko to miało mieć nazwisko Legionów.

Ponieważ Francuzi potrzebowali dużo żołnierza, prowadząc ciągle wojny z całym światem, posłali więc Dąbrowskiego do Włoch w celu tworzenia legionów.

Z uciśnionego kraju jaki taki przez wiele granic i niebezpieczeństw przedarł się i zaciągnął do legionów w tej nadziei, że przy sposobności wraz z legionami wróci do kraju.

Legie te prędko stawały i już liczyła każda po kilka tysięcy, można więc było mieć nadzieję powrotu do Ojczyzny i to nie z gołemi rękami. Tymczasem Polacy musieli po całym świecie krew przelewać, aby zasłużyć na względy i pomoc wielkiego wojownika francuskiego cesarza Napoleona. Wysłano też 5 tysięcy Polaków na wyspę św. Dominika, na drugą połowę ziemi, gdzie się byli zbuntowali Murzyni, gdzie słońce pali, gdzie śmiertelna choroba codzień tysiącami ludzi zabija, a lekarstwa na nią niema żadnego.



Wjazd Dąbrowskiego do Poznania.

Wzbraniali się Polacy iść na oczywistą zgubę, ale Francuzi wytoczyli armaty nabite i biedni Legioniści, radzi nie radzi, musieli wsiadać na okręty i płynąć gdzieś na koniec świata. Sprawdziło się przeczucie tych nieboraków: co nie wymordowali dzicy Murzyni, to wygubiła żółta febra, tak, że ledwie dziesiąty wrócił do Europy.

Nareszcie po długich zwlekaniach wydał Napoleon wojnę Prusakom, pobił ich pod Jeną i szedł ku ziemiom polskim. Dąbrowski z Legionami tuż za nim wkroczył do Wielkopolski (1870 r.). Lud klękał przed końmi, całował ręce swych obrońców i każdy, kto czuł się na siłach, porywał za broń, by iść na wroga. Pod Pułtuskiem, pod Friedlandem, pod Ejlau nieprzyjaciel był zwyciężony. Polacy myśleli, że pójdą dalej, do wolności, lecz Napoleon poprzyjaźnił się z carem Aleksandrem i z odebranych ziem Prusakom utworzono tylko niewielkie Księstwo Warszawskie.

Jak Maciej wyprowadził Chajma w pole.

— Macieju, ja wam co powiem, zaczął Chaim pachciarz i sklepikarz z Psiej Wólki: wy możecie u mnie zarobić, to będzie wcale czysty interes, tylko miejcie głowę, żeby czasem głupstwo nie wyszło jakie.

— Macie gadać, to gadajcie — odburknął Maciej, najuboższy gospodarz we wsi — o moją głowę nie frasujcie się wiele, może ona nawet waszej poradzić.

— Nu. może to być, ja o tem jeszcze nie wiem. Ja wam dam kieliszek szabasówki, wypijcie na wasze zdrowie i posłuchajcie: Dziedzic nasadził za wsią tyle kapusty, my widzieli, tam będzie ze dwadzieścia zagony, nu może i ze czterdzieści, — a jej jaki on łakomy, na co jemu tyle! — Ja też sadził zaraz koło niego na Wojtka zagony za procent, ale jakie to zagony, to całkiem takie wąziuchne paski, ledwie trzy główki, może nawet dwie tylko rosną. Co ja będę miał, powiedzcie sami? mnie z pięć kopy zabraknie. Wy Macieju, moglibyście troche obudzić się w nocy i sobie wyjść; wasza chałupa na końcu wsi, a zaraz za płotem kapusta. Wy się trochę przejdziecie i te pięć kopy poszukajcie dla mnie. Jak znajdziecie, to zanieście do mojej szopy, ja wam dam dwie korony. Nu czy zgoda?

Maciej poskrobał się w głowę i powiada:

— Dobra wasza szabasówka, korony też nie psy, po drodze nie chodzą, dajcie na zadatek do nich dwie szóstki, a jutro kapusta będzie w szopie; co komu do tego, gdzie ja jej szukać będę.

— Co ma być komu do tego, ja nie chcę wiedzieć, to wasza głowa: macie nawet ten zadatek, choć to moja krzywda.

Idzie Maciej do domu i myśli:

— Poczekaj żydzie, będziesz miał kapustę, będziesz, ja ci jej nie pożałuję. Nie będę nawet czekał nocy, żeby się trochę obudzić.

Zaraz po kolacyi wziął worek i nóż, poszedł prosto na Chaimowe zagony, wybrał po omacku co największe głowy, wyciął pięć kop z dokładem i w parę godzin poznosił je do wskazanej szopy. Rano poszedł do Chajma i pokazuje.

Żyd się ucieszył, bo tęga kapusta leżała, a kapusta tego roku była droga. Bez targu dał dwie korony i powiada:

— Nu Macieju, wy bardzo dobrze poszukali, ale coby tego szukania nie było znaku, ja kazał zaraz swoją kapustę wycinać, niech to będzie, że ona na moje zagony wszystka wyrosła.

Ledwie wyrzekł te słowa, wpadła zdyszana Chaimowa i z krzykiem oznajmiła, że im ktoś wszystką kapustę wyciął.

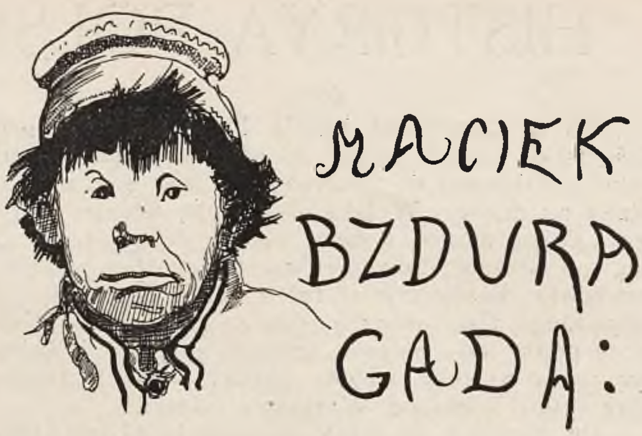
— Nu, co to jest! Macieju, po co ta omyłka, oddajcie mi dwie korony. Ja myślał, co wy porządny człowiek, a wy moje kapuste ukradli; nu ja was do sądu podam!

— Upamiętaj się, człeku; jakiem prawem robisz mię złodziejem, toć wasza kapusta w waszej szopie leży.

— Te, jaki to głupi rozum u was! Po co wy z moje zagony brali, ja wam kazał poszukać!

— Ja też i poszukał, a gdzie znalazł to już moja głowa! Bywajcie zdrowi, a jak będziecie jeszcze mieli jaki czysty interes, to ja wam go mogę załatwić.

— Bodaj moje wrogi z takim, jak ty, interasa mieli — odrzekł zaperzony Chaim.



Wszyscy mie napastują, kady sie ino obróce i dziewki i gdowy i stare baby, a nawet rekomendowanemi listami, zebym sie zenił. Jedna mi pisała, ze jak będe tak ściągał ozeniacke, to sie zestarzeje i nie dom rady babie.

Przecie jescem nie taki stary i wąsy dopiro mi sie kolą, siedmioma rządkami, po śtyry kudły w jednym rządku, a po drugie, zebym nawet mioł i śterdzieści lat, tobym sie nie boł i śterech babów, zebym ino nie był z gołom rękom.

Zrestąm pewnie, ze sie trzeba będzie tej zimy ozenić i mom juz kilka dziewek upatrzone, ino ze to boi sie człowiek, zeby nie chybił. Ja ta w kazdą niedzielę idę na chór i patrzę, jak idą bez kościół, któroby była lo mnie, ale u kazdej jakieś przywilije sie okazują.

Hanka od Burka śwarno dziewucha, okrągluśka na gębie, jak źróbek, cóz kiedy jucha taka halamuśno, delikatna, jak francuski piesek.

Guzikowa Marena ujdawo, ino ze musi mieć obie nogi lewe, bo buty oba w jedne strone wykoślane.

Kaśka Grocholowa znowu na chór sie za mną oglända, ale mi sie nie podoba, bo taka nakrapiano po gębie i kudłatą chrostę ma na końcu nosa.

Ogórconka Rejna cienko znowu, jak z grochu tycka, Margośka zaś Leliconka gruba jak prochownia, a jakby jesce w ozeniocce przygrubła, no toby sie do drzwi nie śmieściła.

Zenić sie, to zenić, ale trzeba wiedzieć z cem, na co i po co. Jak ci sie baba nie sykuje, to jej na jarmark nie wywiedzies, jak krowe, abo kobyłe, ino juz trzeba tak do śmierci pokutować. To lepi juz w cystości całe zycie chodzić, kieby zaś mioł kto oprać.

Ksiądz wydziwia na kazaniu na niecystość, a tu gospodyni kaze piec ze sadzy wymieść i juz mas grzych śmiertelny, boś cały niecysty, jak kuminiarz. Dobrze jegomości swarzyć na niecystość, ze go gospodyni plebańska opierze.

Nas księzycek bo strasnie dobry i do nabozeństwa i do spowiedzi. Tego roku gospodyni moja koniecnie mnie wysturchała na spowidź. Spowiadom sie, zem popełnił grzech niecystości.

— Z kim? — pyta sie mie jegomość — z dziwką?

— Nie.

— Z gospodynią?

— Nie, prose jegomości, z gospodarzem.

— Z kim?

— Z moim gospodarzem.

— A ty świnio! jakze to było?

— Ano wybiralimy stawarkę ze stawku i całym sie ubabrał.

No i powidzcie! nic jegomość nie swarzyli, jesce sie ośmioli i lekuśką pokute mi dali, zem sie jaze zdziwił.

Zdobywanie skóry wężów.

Są niektóre gałęzie przemysłu połączone wprost z barbarzyństwem, wobec którego wzdraga się umysł człowieka. Corocznie, na przykład, dziesiątki tysięcy ptaków, o prześlicznem upierzeniu, ginie z rąk strzelców, aby służyć za ozdobę kapeluszy.

W Persyi i Turkestanie pasterze męczą jagniątka przed zabiciem ich, aby otrzymać pięknie kręconą wełnę. Wskutek tych męczarni właściel otrzymuje potem przy sprzedaży za futerko wyższą cenę, ale biedne zwierzątko zysk jego odpokutuje ogromnemi cierpieniami.



Przed operacyą.

Znane są również powszechnie strusie pióra, które służą do ubierania kapeluszy. Część ich pochodzi z zabitych strusi, a bardzo wiele bywa uzyskiwanych w ten sposób, że z żywego strusia wyrywają co ładniejsze pióra, aby je wysłać w handel. Obdartego i zmęczonego ptaka zostawiają przy życiu, by mu znów nowe pierze wyrosło, poczem znów podlega tej bolesnej operacyi. Ta czynność powtarza się nieraz kilkakrotnie.



Pierwsze nacięcie.

Okropnem męczeniom podlegają także węże, których skóra bywa używana na paski do sukien. Ze skóry wężów wyrabiają także portmonetki, torebki i inne przeróżne przedmioty galantervjne.

Handel skórami wężów jest nadzwyczaj korzystny. Prowadzi go głównie grupa stowarzyszonych, bardzo bogatych kupców. Biuro główne stowarzyszenia znajduje się w Batawii. Przedsiębiorstwo posiada wielu ajentów, którzy głównie uwijają się na dwóch wyspach, znajgujących się pomiędzy Azyą a Australią, to jest na Jawie i Sumatrze. Zakupują oni towar od krajowców po bardzo niskiej cenie, gdyż za skórę z węża nieżywego płacą około 15 do 20 halerzy, stosownie do długości; zaś za skórę z węża żywego 4 do 5 koron.

Tak znaczna różnica w cenie tłumaczy się tem, że z węża żywego skórę zdjąć łatwo, bez żadnego uszkodzenia, gdy zdejmowanie skóry z wężów nieżywych jest utrudnione, wskutek czego skóra ulega uszkodzeniom, a w dodatku niema ona pożądanej giętkości.



Ściąganie skóry.



Koniec operacyi.

Obdzieranie żywych wężów ze skóry wyobrażają obrazki, umieszczone obok. »Oprawca« przynosi pochwyconego węża na przeznaczone miejsce, trzymając jedną ręką skazańca za ogon, a drugą za głowę, przyczem pewną część ciała okręca koło ręki, tak, aby wąż miał głowę ubezwładnioną. Następnie jeden z odzieraczy przytrzymuje głowę węża, ścisnąwszy mocno za szyję i przywiązuje go do drzewa, lub słupa, drugi zaś krajowiec wypręża go, trzymając silnie za ogon.



Wąż odarty wije się w męczarniach.

Teraz zaczyna się prawdziwa i bardzo bolesna operacya. Jeden z krajowców trzyma ciągle węża za ogon, drugi zaś nacina skórę przy samem łbie i ciągnąc na dół z całej siły, zdejmuje ją szybko, jak rękawiczkę z ręki, nie zwracając uwagi na nieszczęśliwe zwierze. Po zdjęciu skóry wąż żyje jeszcze przeszło godzinę, wijąc się w straszliwych męczarniach. Uwiązany ciągle za szyję, bo pół dziki oprawca, zdjąwszy skórę, nie zwraca więcej uwagi na biedne stworzenie, rzuca się na wszystkie strony, póki na zawsze życia nie utraci.

Poszukiwane są przedewszystkiem płazy z rodzaju dusicieli. Mają one ciało znacznych rozmiarów, okryte łuską gładką, długie na dziesięć łokci i więcej nawet. Na łbie mają trzy ciemne, podłużne prążki, na grzbiecie zaś, na czerwonawo-popielatem tle, znajdują się pręgi ciemne, podłużne i są poprzerywane jasno-szaro-żółtawemi plamami jajowatego kształtu.

Polowanie na dusicieli nie należy wcale do bezpiecznych, ale krajowcy dla uzyskania miłego grosza za skóry chętnie go się podejmują, narażając swoje życie.

Niejednego z czytelników oburzy zapewne takie dręczenie niewinnych zwierząt przez wpół dzikich krajowców i zapewne ani na myśl mu nie przyjdzie, że i u nas niebrak podobnych barbarzyńców. Tymczasem może jego sąsiad lub sąsiadka, a może nawet sam czytający w mało co lepszy sposób postępuje. Mam tu na myśli owo, tak znane, a niestety, szeroko rozpowszechnione podskubywanie gęsi i kaczek. Barbarzyński ten zwyczaj tak się już utarł pomiędzy naszemi gosposiami, że zdaje się, szkoda nawet słów, aby starać się odwodzić je od tego. Tymczasem wartałoby się nad tem zastanowić, wartałoby przejąć się cierpieniami biednych ptaków i tej barbarzyńskiej czynności zaprzestać. Wprawdzie byłby to ubytek w gospodarstwie dość znaczny, ale znów nie tak znaczny, żeby go przeboleć nie było można, a każda gospodyni miałaby czyste sumienie, że nie zdobyła miłego grosza tak bolesnemi cierpieniami biednych ptaków.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

MĄTWY.

W ciągu kilku dni »Nautilus« oddalił się znacznie od brzegów amerykańskich. Nie chciał nawiedzać fal zatoki Meksykańskiej lub morza Antyllów.

Kanadyjczyk, który zamierzał wykonać swe projekty w tej zatoce, bądź to dostając się na ląd, bądź też na który z przewozowych statków, krążących pomiędzy jedną wyspą a drugą, doznał wielkiego zawodu. Ucieczka byłaby nader łatwą, gdyby Ned-Land zdołał zawładnąć łodzią bez wiedzy kapitana; ale na pełnym oceanie, nie było nawet co o tem myśleć.

Kanadyjczyk, Konsel i ja mieliśmy w tym przedmiocie dość długą rozmowę. Od sześciu miesięcy byliśmy więźniami na »Nautilusie«, zrobiliśmy siedmnaście tysięcy mil i jak mówił Ned-Land, nie było żadnego powodu, żeby się to miało już skończyć. Chodziło o postawienie kapitanowi Nemo kategorycznego pytania: czy myślał bez końca trzymać nas na statku?

Miałem wstręt do tego kroku, gdyż według mojego zdania, nie mógł on do niczego doprowadzić. Nie należało spodziewać się niczego od dowódcy »Nautilusa«, ale liczyć tylko na siebie samych. Zresztą od pewnego czasu człowiek ten stawał się coraz bardziej ponurym, odosobnionym, coraz mniej towarzyskim. Zdawał się unikać mnie. Spotykałem go bardzo rzadko. Dawniej znajdował przyjemność w tłumaczeniu mi cudów podmorskich; obecnie pozostawiał mnie własnym badaniom i nie przychodził do salonu.



... Przed oczami memi poruszał się okropny potwór.

Prosiłem więc Neda, aby mi pozwolił zastanowić się nim zacznę działać. Gdyby ten krok miał pozostać bez skutku, w takim razie mógł tylko wzbudzić podejrzenie kapitana, pogorszyć nasze położenie i zaszkodzić projektom Kanadyjczyka. Dodam tu jeszcze, że nie mogłem powołać się żadną miarą na nasze zdrowie. Z wyjątkiem owej ciężkiej biedy w lodowisku południowego bieguna, ani Ned, ani Konsel, ani ja, nigdy nie mieliśmy się lepiej. To zdrowe pożywienie, zdrowe powietrze, ta regularność życia, jednostajność temperatury, nie dawały wcale powodu do chorób.

Dwudziestego kwietnia podnieśliśmy się do średniej głębokości tysiąca pięciuset metrów. Było około jedenastej, kiedy Ned-Land zwrócił moją uwagę na jakiś niezmierny ruch, odbywający się w gęstwinie wielkich wodorostów.

— A więc — rzekłem — są to prawdziwe jaskinie mątw, i nie dziwiłbym się, ujrzawszy kilka tych potworów.

— Jakto? — zawołał Konsel — kałamarznice, proste kałamarznice?

— Nie — odparłem — mątwy potężnych rozmiarów. Ale przyjaciel Land musiał się omylić, bo nic nie widzę.

— Szkoda — odezwał się Konsel — bo radbym przypatrzyć się zbliska jednej z owych mątw, o których słyszałem, że zdolne są nawet pociągnąć okręt na dno otchłani.

— Nigdy nie uwierzę — rzekł Ned-Land — żeby istniały takie zwierzęta.

— Ale co do mnie — rzekłem — postanowiłem nie przypuszczać istnienia tych potworów, chyba wtedy, gdy sam je zobaczę.

— A więc — zapytał Konsel — pan nie wierzy w olbrzymie mątwy?

— A któż, u dyabła, kiedy w nie wierzył! — krzyknął Kanadyjczyk.

— Bardzo wielu, przyjacielu Nedzie.

— Ale nie rybacy. Uczeni... to może.

— Przepraszam, Nedzie, rybacy i uczeni.

— Ależ ja, który teraz do ciebie mówię — rzekł Konsel z najpoważniejszą w świecie miną — pamiętam doskonale, żem widział duży okręt, ściągnięty pod fale ramionami głowonoga.

— Widziałeś to? — zapytał Kanadyjczyk.

— Tak, Nedzie.

— Własnemi oczami?

— Na własne oczy.

— I gdzież to, jeśli łaska?

— W Malo — odpowiedział Konsel.

— W porcie? — rzekł szydersko Ned-Land.

— Nie, w kościele — odparł Konsel.

— W kościele! — krzyknął Kanadyjczyk.

— Tak, przyjacielu Nedzie. Był to obraz, wyobrażający właśnie taką mątwę.

— Brawo! — zawołał Ned-Land, wybuchając śmiechem. — Wybornyś, Konselu!

— W istocie, Konsel ma słuszność — rzekłem. — Słyszałem o tym obrazie. Utrzymywano nietylko, że te mątwy zdolne są pociągnąć okręt, ale niejaki Olagus Magnus mówi o głowonogu na milę długim, podobnym raczej do wyspy niż zwierzęcia. Opowiadają także, że biskup z Nidrosu wystawił raz ołtarz na ogromnej skale; po skończeniu mszy skała zaczęła się ruszać i wróciła do morza. Tą skałą była mątwa.

— I to już wszystko? — zapytał Ned-Land.

— Nie — odrzekłem. — Inny człowiek, Pontopidam z Berghem, pisał również o mątwie, po której cały pułk kawaleryi mógł maszerować.

— Nieźle jednak przesadzali dawni ludzie — mruknął Ned-Land.

— Wkońcu starożytni naturaliści wspominają o potworach z paszczą podobną do zatoki, a tak wielkich, że się nie mogły przesunąć przez cieśninę Gibraltarską.

— Ślicznie! — zawołał Kanadyjczyk.

— Ale w tych wszystkich opowiadaniach cóż wreszcie jest prawdą? — zapytał Konsel.

— Nic, moi przyjaciele; nic przynajmniej, coby nie przekraczało granic prawdopodobieństwa. W każdym razie imaginacya ludzi potrzebuje jeżeli nie przyczyny, to choć pozoru. Nie można zaprzeczać, że istnieją bardzo wielkie gatunki kałamarznic, zawsze jednak mniejsze od wielorybów.

— Czy poławiają się one w owych czasach? — zapytał Konsel.

— Jeżeli się nie poławia, to przynajmniej żeglarze często je widują. Jeden z moich przyjaciół, kapitan Paweł Bos z Hawru, parę razy mi opowiadał, iż spotkał takiego ogromnego potwora na morzu Indyjskiem. Ale najbardziej zadziwiającym i nie dozwalającym wątpić o istnieniu tych olbrzymich stworzeń, jest wydarzenie, które miało miejsce w 1861 roku.

Na północo-wschodzie Teneryfy, pod tą samą prawie szerokością, pod którą się obecnie znajdujemy, osada okrętu »Alekton« spostrzegła płynącą olbrzymią kałamarznicę. Dowódca statku, Bouger, przybliżywszy się do potwora, natarł nań oszczepem i strzałami, co nie na wiele się zdało, bo oszczepy i kule przechodziły przez to miękkie jak galareta ciało. Po wielu daremnych usiłowaniach udało się wkońcu załodze zarzucić na niego pętlicę, która zsunąwszy się do pletwy ogonowej, zatrzymała się przy niej. Spróbowano wtedy wciągnąć potwora na pokład, lecz ciężar jego był tak wielki, że pod ciśnieniem powroza oderwał się od ogona i pozbawiony tej ozdoby, znikł pod wodami. Postanowiono nazwać tę mątwę kałamarznicą Bougera.



... został uniesiony w górę...

— A jak ona była długą? — pytał Kanadyjczyk.

— Czy nie miała czasem około sześciu metrów? — wtrącił Konsel — który stanąwszy przy szybie, przyglądał się znowu wklęsłościom i zakrętom ławicy.

— Być może — odrzekłem.

— Czy jej głowa — mówił dalej Konsel — nie była uwieńczona ośmiu mackami, wijącemi się w wodzie, jak gniazdo wężów?

— Właśnie.

— Czy oczy umieszczone na przodzie głowy, nie były bardzo wyłupiaste?

— Tak, Konselu.

— A jego paszczęka czy nie wyglądała zupełnie jak dziób papugi, ale dziób straszny?

— W rzeczy samej, Konselu.

— A więc, z przeproszeniem pana — odpowiedział Konsel — otóż jeżeli nie kałamarznica Bougera, to przynajmniej jedna z jej sióstr.

Spojrzałem na Konsela. Ned-Land poskoczył ku szybie.

— Straszliwa bestya! — krzyknął.

Zwróciłem się także do okna i mimo woli cofnąłem ze wstrętem. Przed oczami memi poruszał się okropny potwór.

Była to ogromnej wielkości kałamarznica, długa na ośm metrów. Posuwała się tyłem niezmiernie szybko w kierunku »Nautilusa«. Jej ośm ramion, a raczej nóg wyrastających z głowy, które zjednały tym zwierzętom nazwę głowonogich, były dwa razy większe od ciała. Można było dokładnie widzieć dwieście pięćdziesiąt baniek, rozłożonych na powierzchni macek w kształcie półkulistych woreczków. Bańki te czasami przylegały do szyb »Nautilusa«, wytwarzając sobie próżnię. Paszcza tego potworu — dziób rogowy w kształcie dzióba papugi — otwierała się i zamykała prostopadle. Język, osadzony w dzióbie, uzbrojony kilkoma rzędami ostrych zębów, wysuwał się, drgając, z tych istnych nożyc. Niestała barwa, zmieniająca się z niezmierną prędkością, przechodziła kolejno z szaro-sinej w brunatno-różową. Zmieniała farbę z gniewu.

Co tak drażniło tego mięczaka? Zapewne obecność »Nautilusa«, straszniejszego niż on, przeciw któremu ssące jego ramiona i szczęki były bezsilne.

Przypadek postawił nas wobec tej kałamarznicy, i nie chciałem stracić sposobności starannego zbadania tego okazu głowonoga. Przezwyciężyłem wstręt jaki budził we mnie jego widok i wziąwszy ołówek zacząłem go rysować.

Po chwili inne mątwy zjawiły się przy szybie z prawego boku. Ciągnęły za »Nautilusem« i słyszałem zgrzyt ich dziobów o żelazne pudło. Mieliśmy ich aż zanadto.

Nie przestawałem rysować. Potwory te zachowywały w naszych wodach tak jednostajną postawę, że mógłbym je skopiować w skróceniu na szybie. Zresztą posuwaliśmy się z umiarkowaną szybkością. Nagle »Nautilus« stanął. Raptowne uderzenie wstrząsnęło całym jego szkieletem.

— Czyśmy osiedli na dnie? — zapytałem.

— W każdym razie — odrzekł Kanadyjczyk — podnieśliśmy się już, bo czuję kołysanie.

»Nautilus« w istocie kołysał się, lecz nie posuwał. Ramiona jego śruby nie biły o fale. Po chwili wszedł kapitan Nemo ze swym porucznikiem.

Nie widziałem go już od dawnego czasu. Wydawał się bardzo ponurym. Nie mówiąc nic do nas, nie widząc nas może, poszedł do szyby i powiedział porucznikowi parę wyrazów.

Ten wyszedł. Wkrótce zamknęły się klapy; sufit zajaśniał. Zbliżyłem się do kapitana.

— Ciekawy zbiór mątw — rzekłem swobodnym tonem amatora, stojącego przed szklaną ścianą jakiego akwaryum.

— W istocie, panie profesorze — odparł; — zaraz też weźmiemy się z niemi w zapasy.

Spojrzałem na kapitana, sądziłem, żem go nie dobrze usłyszał.

— W zapasy? — powtórzyłem.

— Tak panie. Śruba stanęła. Myślę, że rogowe szczęki jednej z tych kałamarznic uwięzły w ramionach śruby, co nam przeszkadza płynąć.

— I cóż pan zamierzasz zrobić?

— Wznieść się na powierzchnię wody i wymordować to całe robactwo.

— Nie łatwe przedsięwzięcie.

— W rzeczy samej. Kule elektryczne bezsilne są na miękkie ciała, w których nie znajdują dostatecznego oporu do wybuchu. Uderzymy na nie siekierą.

— I oszczepem, panie — rzekł Kanadyjczyk — jeśli pan nie odrzucisz mojej pomocy.

— Przyjmuję ją, mości Land.

— Będziemy ci towarzyszyć — rzekłem — i postępując za kapitanem Nemo, zwróciliśmy się ku głównym schodom.

Tam z dziesiątek ludzi uzbrojonych w okrętowe siekiery, stał gotów do walki. Konsel i ja wzięliśmy siekiery, Ned-Land chwycił za oszczep.

»Nautilus« znajdował się już wówczas na powierzchni fali. Jeden z marynarzy, stojąc na ostatnich stopniach, odkręcał śruby od klapy. Ale zaledwie mutry zostały zdjęte, klapa podniosła się z gwałtownością, oczywiście pociągnięta bańkami macki mątwy.

Natychmiast jedno z tych długich ramion wśliznęło się jak wąż do otworu, a dwadzieścia innych zatrzepotało w górze. Cięciem siekiery kapitan Nemo odrąbał ową straszliwą mackę, która, wijąc się, stoczyła się po stopniach.

Ale w chwili, gdy tłocząc się jedni na drugich, zdążaliśmy na platformę, dwa drugie ramiona mignąwszy w powietrzu, powaliły stojącego przed kapitanem Nemo majtka, i z nieprzepartą siłą porwały go do góry.

Kapitan z okrzykiem zgrozy rzucił się na platformę. Poskoczyliśmy tuż za nim.

Co za okropna scena! Nieszczęsny, pochwycony macką i przylgnięty do jej baniek, kołysał się w powietrzu za wolą tej ogromnej trąby. Chrapał, dusił się, wołał: »Ratunku!« Wyrazy te, wymówione po f r a n c u s k u, wprawiły mnie w głębokie osłupienie! Miałem więc na statku rodaka, może kilku!

Ah! to rozdzierające wołanie! będę je słyszał przez całe życie.

Nieszczęśliwy był zgubiony. Cóż mogło wyzwolić go z tego silnego uścisku? Jednakże kapitan Nemo rzucił się na mątwę i cięciem siekiery odrąbał jeszcze jedno ramię. Porucznik walczył zaciekle przeciw potworom, pełzającym po bokach »Nautilusa«. Załoga sypała razami siekier. Kanadyjczyk, Konsel i ja wtłaczaliśmy żelaza w te bryły mięsiste. Silna woń piżma przenikała powietrze. Było to okropne.

Na chwilę myślałem, że nieszczęsny, splątany przez mątwę, zostanie oswobodzony od potężnego jej ssania. Z ośmiu ramion, siedm już było odciętych. Ostatnie, wstrząsając ofiarą jak piórkiem, wiło się w powietrzu. Lecz w chwili, gdy kapitan Nemo i porucznik rzucili się na nie, zwierzę wypuściło słup czarniawej cieczy, wydzielającej się z worka, umieszczonego w brzuchu. Zostaliśmy na moment oślepieni, a gdy ta chmura rozwiała się nam z przed oczu, kałamarznica już znikła, a z nią razem i nieszczęśliwy mój rodak.

Jakaś wściekłość pchnęła nas wówczas przeciw potworom. Byliśmy jak opętani. Dziesięć do dwunastu mątw wdarło się na platformę i boki »Nautilusa«. Zataczaliśmy się w zamięszaniu wśród tych wężowych dzwonów, podskakujących w falach krwi i czarnego atramentu. Zdawało się, że owe lepkie macki odrastały. Oszczep Ned-Landa, tonąc za każdym zamachem w niebieskich oczach kałamarznic, wyłupiał je. Ale odważny mój towarzysz powalony został naraz mackami potworu, przed którym nie zdołał się uchylić.

Ah! że mi serce nie pękło ze wzruszenia i zgrozy! Straszny dziób kałamarznicy rozwarł się na Ned-Landa. Nieszczęśliwy miał być przecięty na dwoje! Skoczyłem mu na ratunek, ale kapitan Nemo mnie wyprzedził. Siekiera jego zniknęła pomiędzy dwiema ogromnemi szczękami, a Kanadyjczyk cudownie ocalony, zerwał się i zanurzył swój oszczep w potrójnem sercu mątwy.

— Należało mi się panu wypłacić — rzekł kapitan Nemo do Kanadyjczyka.

Ned skłonił się, nic nie odpowiedział.

Walka trwała przez kwadrans. Pokonane, porąbane, pozabijane potwory ustąpiły nam wreszcie z placu i znikły pod wodą.

Kapitan Nemo zbroczony krwią, stojąc nieruchomie przy latarni statku, poglądał na morze, które pochłonęło mu jednego towarzysza, i grube łzy spływały mu z oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO WSPÓLNEJ PRACY.



Pracowałeś chętnie, bracie,
Na twej roli wiosnę, lato;
W pocie czoła siałeś ziarno,
Teraz masz pożytek za to.

Nie straszyły cię upały,
Gdy gorący nastał dzionek,
Choć ci bardzo dokuczały,
Tyś był wesół jak skowronek.

Pracowałeś z całej siły.
Gdy ci rola dała plony,
Więc zebrałeś, bracie miły,
I zorałeś znów zagony.

Teraz znowu, miły bracie,
Kiedy się skończyło lato,
Odpoczynek masz po pracy,
Lecz nie próżnujże znów za to.

Więc rozszerzaj wszędzie ***Rolę***,
Gdyż przystępna jest każdemu,
Czy uczony to, czy chłopek,
A z płacą i najbiedniejszemu!

Pracuj szczerze, a z miłości
Nieś oświatę młodszej braci!
Gdy będziemy w tej jedności,
Kraj rozumem się wzbogaci.

Bo nauka, to jest siła,
Która z chęcią idąc wspólnie,
Wiele dobraby sprawiła,
Lecz jej u nas brak ogólnie.

Więc pracujmy wszyscy razem
A wytrwale, choć powoli
Żyjmy wszyscy tą nadzieją
Że Bóg Polsce wstać pozwoli.

Franciszek Markiewicz.

Z TYGODNIA.

Książę-kiskup krakowski, Jego Eminencya Kardynał Jan Puzyna, najwyższy dostojnik Kościoła polskiego, ciężko zachorował. Dnia 16 listopada uległ mianowicie udarowi serca i stracił władzę w prawej połowie ciała. Pod troskliwą opieką lekarzy poprawiło się zdrowie Księcia Kardynała o tyle, że czuje się silniejszym. Jest możliwość, że porażenie ciała częściowo będzie się zmniejszało.

Sejm galicyjski zakończył swoje obrady nadspodziewanie spokojnie i pomyślnie. Wprawdzie nie doszło do uchwalenia reformy wyborczej, gdyż temu przeszkodzili Rusini swojem nieustępliwem postępowaniem przez cały czas sesyi sejmowej. Ostatniego dnia jednak opamiętali się nieco, skoro zobaczyli, że mimo ich wrzaskliwej obstrukcyi, Sejm uchwalił budżet na rok przyszły. Wtedy zgodzili się na rokowania i ostatnie posiedzenie Sejmu odbyło się w spokoju. Posłowie polscy i tu okazali chęć do zgody. Tak jak dawniej stronnictwa polskie porobiły wzajemne ustępstwa, tak na końcu zrobiły ofiarę Rusinom, dla świętej zgody. Mianowicie stronnictwa polskie ustąpiły od opracowanego przez siebie rozdziału mandatów i uchwaliły tylko rezolucyę, że Wydział krajowy ma opracować projekt ustawy wyborczej, uwzględniający o ile możności żądania ruskie. Uchwała ta zapadła jednomyślnie, głosami wszystkich posłów polskich i ruskich, co stwierdził z przyjemnością marszałek hr. Badeni, dziękując posłom, i zamykając ostatnie posiedzenie.

Delegacye austro - węgierskie zamknęły kilkotygodniowe obrady, uchwaliwszy zwyczajne wydatki na kierownictwo spraw zagranicznych i na wojsko. W grudniu zbierze się znowu sesya delegacyj na uchwalenie nadzwyczajnych wydatków wojskowych i marynarki, mianowicie na armaty i budowę nowych okrętów wojennych.

W sprawie częstochowskiej zabrał głos także ks. kanonik Sander z Gniezna, Niemiec, i stanął w obronie społeczeństwa polskiego. Wystąpił on przeciw zarzutowi, jakoby zbrodnia częstochowska była wynikiem tak zwanej »polskiej gospodarki«. Podnosi, iż raczej stosunki niepomyślne, panujące w Rosyi, należy za nią czynić odpowiedzialnymi. Zachowanie się Polaków w tej sprawie nazywa wprost wspaniałem i mówi, że przynosi zaszczyt całemu narodowi polskiemu.

Damazy Macoch został już wydany sądom rosyjskim. Z Krakowa do Granicy odwieźli go żandarmi. W Granicy żandarmi rosyjscy okuli Macocha w kajdany na ręce i nogi. Podczas okuwania Macoch płakał.

Macoch napisał z więzienia w Krakowie płaczliwy list do przeora OO. Paulinów na Jasnej Górze, w którym wyznaje całą popełnioną zbrodnię. Twierdzi, że zabijał w uniesieniu, prawie w obłędzie, mszcząc się za doznaną od Wacława Macocha zniewagę; pisze, że chce odpokutować, że wyznał wszystko, ale świętokradztwa nie spełnił.

Proces akademików ruskich o napad na uniwersytet we Lwowie odbędzie się w połowie stycznia. Niedawno dopiero odszukano ostatniego oskarżonego w Przemyślu i doręczono mu akt oskarżenia. Rozbijać sale szkolne i strzelać umieją Rusini, ale jeszcze lepiej wypierać się winy i chować po kątach.

Nowa gmina. Cesarz zatwierdził uchwałę Sejmu galicyjskiego w sprawie wyłączenia gminy Okulice ze związku z gminą Bratucice (pow. bocheński) i utworzenia z niej samodzielnej gminy.

Jenerał gubernator warszawski Skałłon, opuszcza pono na Nowy Rok swe stanowisko. Następcą jego ma zostać szwagier prezesa ministrów rosyjskich Stołypina, senator Neidhardt.

Lew hr. Tołstoj, najznakomitszy powieściopisarz rosyjski, umarł w ubiegłą niedzielę 20 b. m. na stacyi kolejowej Ostapowo, skutkiem zapalenia płuc, którego nabawił się podczas swej ucieczki z domu, o czem pisaliśmy w poprzednim nrze »Roli«.

Hrabia Tołstoj należał do najwyższej i najbogatszej arystokracyi rosyjskiej i początkowo prowadził życie hulaszcze jako oficer gwardyi cesarskiej. Z biegiem czasu odmienił się i zaczął pisać artykuły dla ludu, powieści i dramaty którerni wkrótce tak się wsławił, że należał do najbardziej znanych w całym świecie pisarzy. Oprócz majątku po ojcu pobierał bardzo dużo za płacone mu przez bogate gazety pieniądze. Oceniają, że w życiu zarobił w ten sposób parę milionów koron. Ale pod koniec życia przyszedł do przekonania, że pieniadz to jest marność, która czasem może szkodę przynosić i zaczął głosić potrzebę powrotu do ubóstwa, zatem do tych zasad, którerni kierowali się pierwsi chrześcijanie Oprócz tego głosił, że miasta są tylko rozsadnikami zepsucia i że prawdziwa moralność istnieć może tylko na wsi, przy pracy na roli. Dlatego porzucił Moskwę i Petersburg, dwa największe miasta rosyjskie i osiadł w swoim dworze w Jasnej Polanie. Tam zaczął żyć bardzo skromnie, ubierał się jak chłop rosyjski i tak, jak chłop rosyjski, jadał najskromniejsze potrawy, sam chodził koło roli i bydła, wycinał drzewa z lasu i t. d.

Pisał ciągle dużo, w ostatnich latach mniej powieści a zato dużo rozpraw i książeczek, jakimi sposobami należy świat dzisiejszy naprawić. Pisząc o tem, zarzucał bardzo wiele duchownym prawosławnym, czyli szyzmatyckim, i za to zebrali się biskupi rosyjscy przed dziesięciu laty i wyklęli go z cerkwi. On jednak nie upokorzył się przed popami i jak dawniej pisał, co ma przeciwko nim.

Do najsławniejszych jego dzieł należą: powieść »Pokój i wojna«, z czasów wyprawy cesarza Napoleona francuskiego na Rosyę w roku 1812, dalej powieść »Anna Karenina«, z życia szlachty rosyjskiej i kilka innych powieści, oraz prześliczne »Opowieści dla ludu«, pisane nie językiem książkowym, ale gwarą włościan rosyjskich.

Z kościelnego kalendarza statystycznego, jaki wyszedł na rok 1911, wyjmujemy kilka interesujących dat, dotyczących najwyższej hierarchii kościelnej. Głowa Kościoła, Ojciec św. Pius X jest 258 następcą św. Piotra. Kardynałów, których powinno być 70, w tem 6 kardynałów - biskupów, 50 kardynałów - kapłanów i 14 kardynałów - dyakonów, mamy ich obecnie 53 i to 5 biskupów, 43 kapłanów i 5 dyakonów, 17 krzeseł kardynalskich jest więc niezajętych. Z kardynałów jest 29 poza Rzymem. Najstarszym kardynałem co do wieku, jest książę - biskup wiedeński, Grusza, który się urodził w 1820 roku — najmłodszym sekretarz stanu ks. Merry del Val, urodzony w roku 1865. Z mianowanych przez Ojca św. Piusa IX kardynałów żyje już tylko jeden, kardynał-biskup Oreglia. Z czasów Leona XIII żyje jeszcze 37, a Pius X mianował 15 kardynałów. Za pontyfikatu Piusa X, a więc w 7 latach, zmarło 28 kardynałów.

Parlament angielski zostanie prawdopodobnie rozwiązany z powodu sporu, jaki wybuchł między Izbą gmin (posłów) a Izbą lordów (panów) o zreformowanie Izby lordów. Wielu ministrów oświadczyło się za natychmiastowem rozwiązaniem parlamentu. Gdyby to nastąpiło, wybory odbędą się jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia.

KRONIKA.

Z dniem dzisiejszym rozpoczynamy drukować powieść nową z czasow Chrystusa Pana p. t.:

U stóp Zbawiciela,

którą drukować będziemy z górą przez pół roku.

W pierwszym numerze roku 1911 rozpoczniemy drukować razem z tamtą powieścią, drugą, p. t.:

Czarny Rok

z obrazkiem w każdym numerze, umyślnie dla „Roli" robionym. Jest to powieść z XVII wieku, z czasów napadów rozbójników ruskich na Ukrainie, czyli hajdamaków.

Kalendarz „Roli", gruba, oprawna książka, jest już na ukończeniu i zaczniemy jej wysyłkę w przyszłym tygodniu, mianowicie dla tych czytelników, którzy prenumeratę i opłatę na koszta przesyłki nadesłali w sumie 4 koron 30 halerzy. Zwracamy uwagę, że im kto prędzej przyśle pieniądze, tem prędzej i kalendarz dostanie.

Jeszcze raz powtarzamy, że kto nie złoży do Bożego Narodzenia prenumeraty, nie będzie już mógł ubiegać się o „Podarek Szczęścia „Roli", gdyż w pierwszych dniach stycznia odbędzie się losowanie. Tak samo kto się spóźni z nadesłaniem prenumeraty w roku bieżącym, może kalendarza nie otrzymać, gdyż może ich zabraknąć.

O Kalendarz i Podarek Szczęścia mogą się ubiegać tylko całoroczni prenumeratorzy.

Obstrukcya ruska w Sejmie. Przez dwa tygodnie z górą, jak wiadomo, nasz Sejm galicyjski był widownią smutnych scen. Garstka, składająca się z 11 zaledwie posłów z obozu ukraińskiego obrała salę sejmową do urządzania awantur, ubliżających zebraniu poważnych obywateli, zastępców ludu. Właśnie Sejm galicyjski słynął w Europie z tego, że był nad wszystkie parlamenty poważny i przyzwoity, że nie działy się w nim takie rzeczy, jak znane obstrukcye w Wiedniu albo Paryżu, gdzie się nawet po twarzach posłowie bijali, Rusini odebrali tę dobrą sławę naszemu Sejmowi.



Podajemy tu obrazek, przedstawiający, jak się mniej więcej odbywała ta obstrukcya ruska. Przed sobą widzimy ławy ruskie. Jeden z Ukraińców, u góry, bije pałką w czynele, talerze mosiężne używane przez orkiestry wojskowe. Drugi, obok, uderza w tamtam czyli gong, dzwon chiński, czyli blachę z bronzu, wydającą przy uderzeniu dźwięk dzwonu. Inni, poniżej, trąbią i gwiżdżą na trąbkach i gwizdkach, inni podnoszą pokrywy szuflad na ławach poselskich i gwałtownie opuszczając na dół, robią stuk nieznośny. Posłowie polscy uzbroili się w cierpliwość i przypatrują się tym awanturom, inni spokojnie czytają gazety, przywyknąwszy do hałasu. Do czego to przywyknąć nie można! Ale do wstydu nie, a my wszyscy musimy się wstydzić, że nasz Sejm krajowy został znieważony przez Rusinów.

Awantura na pogrzebie cygańskim. Bandzie cyganów, koczującej w Tuczempach, zmarł jeden cygan i miał być pochowany na cmentarzu w Jarosławiu. Cyganie zakupili bogatą trumnę, ksiądz pieszo towarzyszył zwłokom. Gdy cały kondukt z liczną bandą cyganów przechodził ulicą Krakowską, naraz przystanął przed zakładem fotograficznym.



Cyganie otworzyli w mgnieniu oka trumnę wiezioną na zwykłym cygańskim wozie i przywołali fotografa, aby zdjął podobiznę zmarłego, przyczem usiłowali zwłoki w trumnie podnieść. Na krzyk protestującej publiczności i księdza, który również musiał przystanąć, trumnę zamknięto wprawdzie, lecz wysłano fiakrem naprzód fotografa, aby zrobił fotografię na cmentarzu. Wysłany żandarm i policya miejska udaremnili ten zamiar. Cyganie widząc się zawiedzionymi w nadziei, po ceremonii pogrzebowej rozdzielili się i dorośli, pozostawiając kobiety i dzieci, dosiedli koni i wozu i galopem uciekli do miasta, aby nie płacić fotografowi za przyjazd. Rozpoczęła się gonitwa przez miasto. Przodem cyganie na koniach, za nimi wóz z cyganami, wreszcie goniący galopem fiakier z policyantem i fotografem trzymającym przed sobą duży aparat fotograficzny. Konni cyganie uciekli, zaś dopędzono wóz i sprowadzono cyganów do policyi miejskiej. Cyganie przyjęli obowiązek zapłacenia fotografa i użytych do ich pościgu fiakrów, jednakże oświadczyli, że gotowych pieniędzy nie mają, aby im pozwolono pójść co zastawić w banku. Pod eskortą policyantów poszli cyganie do banku, gdy jednakże znaleźli się w sieniach domu, spostrzegli, że to kamienica przechodnia, dali znać nogom, uciekli drugą bramą i rozbiegli się, nadaremnie ścigani przez naiwnych policyantów.

Polscy przodkowie austryackiego następcy tronu. Z wydanej w r. b. przez znanego historyka niemieckiego, Ottona Fersta, rodowodu austryackiego następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda d'Este, dowiadujemy się, że jedną z praprababek przyszłego władcy Austro-Węgier była księżniczka francuska Ludwika Elżbieta, córka Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiej, a zatem wnuczka króla polskiego Stanisława Leszczyńskiego i żony jego Katarzyny Opalińskiej. Polskimi przodkami w dalszych liniach są tedy najbliżsi krewni króla Stanisława i jego małżonki, wśród których, prócz Leszczyńskich i Opalińskich, figurują nazwiska Prusów, Jabłonowskich, Czarnkowskich, Denhoffów, Kazanowskich, Dołęgów, Zaleskich, Brodziców, Radzimińskich, Koniecpolskich, Ostrorogów, Potockich, Kostków, Lubomirskich i Mielżyńskich. W mającem ukazać się jeszcze w r. b. lub przyszłem uzupełnieniu dzieła p. Forsta dział dalszych polskich przodków arcyksięcia będzie znacznie dopełniony.

Dwunastoletni autor. Pisma węgierskie donoszą, że pewien 12-letni chłopak, Abraham Ovid, napisał po rumuńsku dzieło o hodowli owiec i bydła. Rodzice Abrahama posłali rękopis do rumuńskiej Akademii do Bukaresztu, a w trzy tygodnie później otrzymali odpowiedź, że dzieło to dobre i że Akademia je wyda, a proponuje za nie honoraryum 3000 lei (koron). Książka będzie obejmować 240 stron druku i traktuje o chowie bydła w 10 rozdziałach. Abraham Ovid uczęszcza do gimnazum w Fogaras i nie uchodzi wcale za pilnego ucznia; cały raczej swój wolny czas spędza w polu i w towarzystwie zwierząt. Licząc lat 10, pisał chłopak artykuł o rodzinnych górach, drukowany w gazecie w Kronsztadzie. Abraham Ovid jest małomówny i z nikim się nie przyjaźni.

Pies świadkiem w sądzie. Przed sądem karnym w Gnieznie stawał jako oskarżony gospodarz Ignacy Pawlak ze wsi Czeszewa. Swego czasu stwierdzono w tej wsi kilka wypadków wścieklizny u psów i kilka z nich żandarm kazał zabić. Pawlak swojego psa także miał zabić, co też rzekomo uczynił, natomiast inni twierdzą, że wydał go tylko z domu, a po roku znowu odebrał. Na sądzie stawało 12 świadków i pies. Swiadkowie nie mogli jednak przysiądz, że to ten sam pies, choć był podobny. Jeden świadek oświadczył, że gdyby pies zaszczekał, poznałby go po głosie. Wreszcie oskarżony sam psa do tego spowodował, że na głos zaszczekał. Na to świadek z całą pewnością twierdził, że to ten sam pies i wobec tego Pawlaka skazano na tydzień aresztu. W Prusiech surowo karzą za każde przekroczenie porządków policyjnych.

Dziki niedźwiedź. Do niemieckiego miasta Hall przybyła menażerya z mnóstwem dzikich zwierząt. Były tam ogromne słonie i lwy z Afryki, krwiożercze tygrysy z Indyi, drapieżne jaguary z Ameryki, a także kilka niedźwiedzi z naszych Karpat, Tatr i z Litwy. Nieraz wśród rodu drapieżnego przychodziło do wielkiego niepokoju. Od ryków aż ciarki przechodziły niejednego zwiedzającego.

Najwięcej jednak dzikim był jeden niedźwiedź biały, schwytany na północy, na lodach syberyjskich tam, gdzie słońce w zimie prawie całe pół roku wcale nie świeci, a przez całe lato chociaż błyszczy bez przerwy, to jednak dlatego, że się znajduje przy samej ziemi, grzeje bardzo słabo, tak, że jego ciepło ledwo wystarcza na rośnienie mchu. Raz, kiedy był jeszcze malutki, zabrała go niedźwiedzica na łowy. Zaczajeni myśliwi zastrzelili matkę w chwili, gdy wynurzyła się z zimnej wody, trzymając w paszczy schwytaną między lodami fokę. Niedźwiedziątko przestraszone, nie broniące się zupełnie, zabrano i przywieziono do naszych krajów. Tu w menażeryi wyrósł na wielkiego niedźwiedzia, jednak z dzikości swoich rodziców nic nie stracił. Był mocny i tak drapieżny, że go musiano umieścić w osobnej klatce.

W niedziele wiele publiczności odwiedzało menażeryę. Niedźwiedź biały zachowywał się bardziej niespokojnie niż kiedykolwiek. Szarpał kratami klatki, aż się cała chwiała, przytem ryczał przeraźliwie. Setki publiczności ciekawej zebrało się przed klatką drapieżnika i podziwiało jego siłę. Nagle w potężnych łapach niedźwiedzia zazgrzytały dwa żelazne pręty kraty, widocznie zardzewiałe lub ciągłem szarpaniem nadwątlone. Kilkoma szarpnięciami łap zostały wyrwane, wskutek czego w klatce powstał otwór. Przerażona publiczność, widząc przeciskającego się już przez otwór niedźwiedzia, poczęła co sił uciekać. Zgiełk i zamieszanie było nie do opisania. Ludzie tratowali się, silniejsi wyprzedzili słabszych, którzy nie mogąc biedz, krzyczeli nadaremnie o pomoc.

Tymczasem niedźwiedź już wyrwał się z klatki i rozpoczął straszny pościg. Kilkunastu wielkimi susami ubiegł kawał przestrzeni i po kilku sekundach znalazł się tuż za uciekającymi. Na samym końcu uciekającego tłumu biegła 9-letnia dziewczynka Rózia.



Mała i słaba nie mogła ona tak szybko biedz, jak inni. Z przestrachu i zmęczenia nogi jej odmawiały posłuszeństwa i plątały się bezsilne. Już słyszy zbliska ryk pędzącego niedźwiedzia, za chwilkę czuje jego oddech na plecach, wreszcie uderzona straszliwą jego łapą upada na ziemię. Rozbestwiony potwór rzuca się na nią i targa zębami ciało. Widzi to kilku strażników. Przyskakują na pomoc z żelaznemi drągami. Niedźwiedź rzuca się z kolei na nich. Jednego chwyta szczęką za ramię, które miażdży zupełnie i pędzi za drugim. Ów chroni się między słonie, a za nim wbiega rozjuszony niedźwiedź. Rozpoczyna się straszna walka. Już pada strażnik ciężko ranny. Wtem słonie zaryczą okropnie, jakby z armat strzelano lub grzmoty huczały i poczynają wywijać trąbami ku niedźwiedziowi. To ratuje strażnika od niechybnej śmierci. Niedźwiedź przed potwornymi słoniami cofa się. Lecz to nie koniec jego wściekłości. Z kolei wpada do pobliskiej zagrody i zabija dwie kozy i jednę krowę. Tymczasem przybywają ze strzelbami żandarmi i kilkoma strzałami kładą trupem niedźwiedzia. Ofiary drapieżnika dziewczynkę i dwóch strażników odwieziono do szpitala. Dziewczynka jest tak ciężko pokaleczona, że lekarze wątpią czy ją będzie można utrzymać przy życiu, strażnik jeden umarł.

Niezwykła zawziętość. W miejscowości kąpielowej Dnogat we Francyi, do blacharza tamtejszego, Juliusza Gasteboisa, człowieka bogatego, ojca sześciorga dzieci, przybył niejaki Wiktor Besslon, przyjaciel młodości, którego Gastebois nie widział od lat 26. Blacharz przyjął gościa bardzo serdecznie. Śród rozmowy i wspomnień z lat dziecięcych Beslon zaproponował przyjacielowi przechadzkę nad morzem, a gdy znaleźli się sami na wybrzeżu, rzekł nagle do Gasteboisa:

— Czy pamiętasz, coś mi uczynił przed laty 26? i zanim zdumiony Gastebois miał czas odpowiedzieć, dobył z kieszeni rewolwer i wpakował kulę w głowę przyjacielowi, następnie zaś strzelił jeszcze kilkakrotnie do leżącego. Aresztowany oświadczył:

— Przed 26 laty Gastebois obraził mnie ciężko i pobił na wspólnej wycieczce. Oto zemściłem się na nim. Od 26 lat o niczem innem nie myślałem.

Taki człowiek gorszy od zwierzęcia i zupełnie nie jest chrześcijaninem. Widocznie nigdy nie mówi pacierza i nie pamięta słów: »Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«.

„Miejsce pobytu niewiadome“. Król Manuel portugalski oraz babka byli pilnymi czytelnikami paryskiego pisma *Figaro*. Otóż wszystkie numery tego pisma, wysyłane pod adresem króla i królowej Maryi Pia, od chwili wybuchu rewolucyi, ode-

słano z powrotem do Paryża z uwagą, skreśloną w języku portugalskim: »Miejsce pobytu niewiadome«.

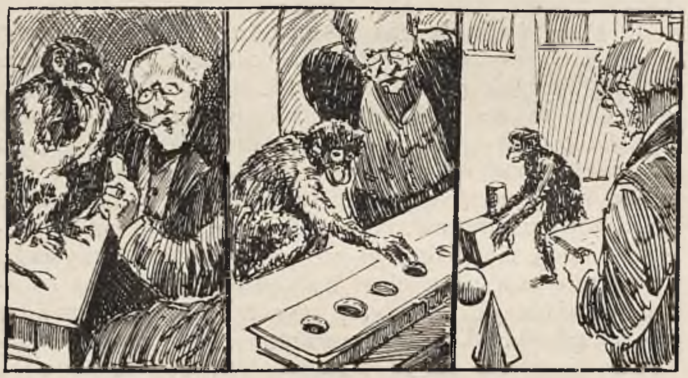
Podziemna gazeta. Jaki olbrzymi ruch panuje pod ziemią w Londynie wykazują cyfry kolejowe; w ciągu roku 1906 koleje podziemne przewiozły 240 milionów pasażerów. Te podziemia stolicy Anglii mają też swoje stacye telegraficzne, telefoniczne, kawiarnie, zakłady fryzyerskie, a od kilku lat i swoją — gazetę. Pismo jest przeznaczone wyłącznie dla pasażerów »Londyńskiej podziemnej kolei elektrycznej«, a nosi nazwę »Kret«. Wydawca Albert Stanley, w pierwszym numerze objaśnił, że głównym celem pisma jest zapobieżenie wzajemnemu przyglądaniu się pasażerów, które, zwłaszcza dla pań, jest, skutkiem położenia siedzeń, bardzo niemiłe. Gazeta wychodzi co sobotę i, pomimo, że nie ma żadnych ogłoszeń, rozdawana jest pasażerom bezpłatnie. Są w niej artykuły, pogadanki, plany Londynu, okolic, kolei żelaznej, drukowana zaś niebieską farbą na białym papierze.

Testament umarłego. Lekarze wiedzą o tem od dawna, że niektórzy ludzie żyją o odrobinę dłużej niż się pozornie wydaje. Mianowicie, jeśli ktoś jest szczególnie silny na zdrowiu a przytem jest człowiekiem dzielnym, o woli mocnej, to jego ciało daje znaki życia nawet po ostatniem wydaniu tchu, gdy już pierś nie oddycha a krew przestaje krążyć. Nigdy jednak to życie przydłużone nie objawiło się tak silnie, jak niedawno w Ameryce, u pewnego adwokata w Filadelfii. Oto jaką nieprawdopodobną a przecież prawdziwą historyę opowiada poważna gazeta nowojorska: Adwokat, Ferdynand Bayley, zachorował na zapalenie otrzewnej czyli błony, która pod skórą otacza jelita. Jest to choroba bolesna a przytem niebezpieczna, i dużo ludzi umiera przez nią. Adwokat był bogatym człowiekiem, zatem żona oddała go pod opiekę aż trzech lekarzy. Przez kilkanaście dni starali się wszystko robić, co im nauka każe, aby uratować życie chorego, ale nadaremnie; pewnego dnia przed południem zaczął konać a o godzinie pół do pierwszej popołudniu umarł. Lekarze stwierdzili śmierć, gdyż oczy zasłonięte do połowy opadłemi powiekami były bez ruchu, puls i serce nie biły. Przekonawszy się o tem, lekarze wyszli. Przy łożu zmarłego pozostała płacząca żona z córką jedyną, piętnastoletnią panną.



Ale któż opisze przerażenie i wzruszenie ich obu, gdy po kilkunastu minutach z ust zmarłego zaczęły się wydobywać szepty, z początku niezrozumiałe, potem coraz jaśniejsze. Zmarły nie poruszając się i nie podnosząc opadniętych powiek, zaczął wydawać słabym, ledwie dosłyszalnym głosem ostatnie rozporządzenia. pouczając żonę, jak ma rozwikłać interesy, gdzie umieścić pieniądze, jak wychowywać córkę itd. W ten sposób ów pozornie umarły przemawiał, co prawda bardzo wolno, przez całe 27 minut. Potem szept stawał się coraz niewyraźniejszym, wreszcie ucichł zupełnie. Adwokat umarł tym razem naprawdę...

Małpia szkoła. Kto wie, ile to pracy musi podjąć nauczyciel, nim dziecko nauczy czegoś, ten zapewne ze zdziwieniem przeczytał napis: »Małpia szkoła«. A jednak pewien amerykański profesor powiedział sobie, że czasem małpę prędzej czegoś nauczy, niż niejednego człowieka i zabrał się do tej nauki. Profesor ten, nazwiskiem Garner, będąc w dziewiczych lasach Afryki, badał tam obyczaje małp, a wracając do Filadelfii, przywiózł ze sobą kilkanaście tych stworzeń. Wśród nich nadzwyczajnymi zdolnościami odznaczała się młodziutka samiczka, którą ów profesor nazwał »Zuzią«.



Według twierdzenia Garnera »panna Zuzia« rozróżnia wybornie barwy i przedmioty, zna je po nazwisku, wie, co się do niej mówi. Rozumie doskonale, gdy się jej powie n. p. »chodź«, »odejdź«, »usiądź na krześle nie na kanapie«, »czas już spać« i t. p. Profesor Garner twierdzi, że z każdą małpą potrafi się dokładnie rozmówić, a dodaje, że jego wychowanka Zuzia swoim »rozumem« świat zadziwi. Obrazek nasz przedstawia Garnera i »pannę Zuzię« w czasie nauki.

Pożar szpitala waryatów. W amerykańskiem mieście Braudon, w stanie Manitoba w Kanadzie, spalił się z niewiadomych przyczyn szpital, mieszczący 600 waryatów, a sceny jakie się przytem rozegrały, były tak straszne, że wiele osób, przyglądających się im zemdlało, a kilka — zwaryowało. Waryaci bowiem wobec pożaru, ogarnięci trwogą, rzucili się tłumnie do wyjść, walcząc dziko ze sobą. Wielu z nich zostało na śmierć zadeptanych, inni odnieśli ciężkie rany od pięści i ukąszeń. Część chorych rzuciła się do okien i wyskakując, padała na dole z połamanymi kośćmi. Część inna wyrwała się całkiem nago na śniegiem pokryte ulice i tam szalała, zagrażając publiczności tak, że policyi i przechodniom tylko z trudem udało się ich opanować. Najokropniejszy widok mieli przedstawiać waryaci, którzy zupełnie nieświadomi niebezpieczeństwa, tańczyli w płonących salach, śmiejąc się dziko. Jednem słowem było to widowisko, robiące wrażenie piekła na ziemi.

Mięso zamorskie w Austryi. Wedle sprawozdania targu mięsnego w Londynie przybyłe ilości zamorskiego mięsa do Austryi są bardzo znaczne a mianowicie: z Australii 49.906 części (quarters) mrożonego mięsa, z Argentyny 71.634 części mroż. mięsa. Ponadto nadeszło w ostatnich dwóch tygodniach: z Argentyny 94.951 części mrożonego mięsa. Z powodu tego znacznego popytu obniżyły się ceny o dalsze 5 – 8 hal. na kilogramie w tych miastach, do których to mięso dochodzi. U nas mięsa zamorskiego niema, mamy swego dość i nie byłoby tak drogie, gdyby na ludności nie zarabiali tak dużo pośrednicy, handlarze i rzeźnicy.

Okręty wojenne ludożerców. Są jeszcze na świecie ludzie, którzy za najsmaczniejsze jedzenie uważają mięso ludzkie. Robią oni wycieczki wojenne, napadają sąsiadów, a wziętych do niewoli najsmaczniej pożerają. Do niektórych wycieczek, które urządzają poza cieśniny morskie używają specyalnych łodzi, a czynią to szczególniej mieszkańcy wysp Salomona, obok Australii.



Jak widzimy, statki wojenne tych ludożerców odznaczają się groźnymi kształtami i umyślnie tak są urządzone, aby rzucić postrach na wroga. Łodzie te mają zazwyczaj 44 stóp długości, a 5 stóp szerokości i poruszają się po wodzie z błyskawiczną szybkością. Ogromnie wysokie dzióby tych łodzi zdobne są bogato w barwne muszle i pióra — na szczytach dziobów powiewają majestatycznie białe pióropusza. Na dole, u zgięcia, wystaje potworny łeb boga wojny, Totishu, który to bóg poskramia złe duchy fal i daje zwycięstwo nad wrogiem.

Podziękowanie „Wiśle“. Kochani Bracia! Podaję do Waszej wiadomości, że z 29 na 30 października b. r. jakaś ręka podłożyła ogień pod moją stodołę i o godzinie 12 w nocy zostałem zniszczony przez ogień o całoroczną krescencyę a ponadto spaliła mi się sieczkarnia, młocarnia z kieratem, młynek, wóz i dwie pary sani. Z tego wszystkiego miałem asekurowaną tylko stodołę na 800 kor. w »Ludowem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń »Wisła«, które oszacowanie szkody zaraz przeprowadziło i wypłaciło mi całą ubezpieczoną kwotę.

Składając za to Dyrekcyi »Wisły« moje najserdeczniejsze podziękowanie, poczuwam się do obowiązku wezwania Was Bracia, abyście się ubezpieczali tylko we »Wiśle« a o jej sumienności przekonacie się sami w razie, broń Boże, nieszczęścia.

Józef Bis,
Zalesie ad Stare Sioło.

Pieszo przez ocean. Pewien Amerykanin, profesor Miller, postanowił z Ameryki do Europy przez morze Aatlantyckie pieszo przejść na wynalezionych przez siebie butach w postaci czółenka, Ale mu tak poszło jak jego współrodakowi Wellmannowi, który balonem chciał przez morze przejechać. Niedaleko od brzegu stracił równowagę i byłby się utopił, gdyby go przyjaciele nie byli szczęśliwie z wody wydobyli.

3.346 psów. W londyńskim Pałacu Kryształowym została otwarta wystawa psów, zawierająca 3.346 okazów. Przedstawiają one wartość 150 000 koron. Znajdują się tam wszystkie gatunki od największych do malutkich piesków japońskich, nie wiele większych od myszy.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Łuszczak Franciszek w Z.: Prenumerata musi być bezwarunko z góry uiszczoną, gdyż inaczej *Roli* nie wysyłamy. Kredytowanie uczy tylko lekkomyślności, a nie jest ono koniecznem, gdyż nawet najbiedniejszy na tak drobną kwotę zdobyć się może. — Marcin Manicki w P.: Numera od początku 1910 roku mamy i po otrzymaniu należytości chętnie poślemy. — Sebastyan Radło w S.: Mamy nadzieję, że zyskamy w panu prawdziwego przyjaciela. — Gawór Tomasz w H.: Taki pan dowcipny? Zagadkę umieścimy, ale jeżeli przyobiecaną w niej nagrodę pan ofiaruje. — Piotr Gródek w B.: Maciek cieszy się ogromnie uznaniem, a my również, że wszystko w *Roli* panu się podoba. Zagadki dobre więc będą drukowane. — Tadeusz Stypa w T.: Szarady najlepiej pisać wierszem. — Franciszek Markiewicz w S.: Zagadka dobra. Za pozdrowienia dziękujemy. — Jakób Paff w Ch.: Książki najstosowniejsze do czytelń ludowych posiada księgarnia K. Wojnara. Adres jest w *Roli*. W antykwarniach można kupić tanio, ale trzeba być osobiście, bo listownie to załatwić się nie da. — Jan Śliwiński w B.: Zagadki umieścimy. Maciek czeka na kolende od swoich przyjaciół na »Gody«, t. j. na święta Bożego Narodzenia i powiada, że im więcej *Rola* będzie miała czytelników tem więcej i lepiej będzie gadał. — Leon Łętowski w S.: Dziękujemy — zagadki umieścimy. — Prawdziwi Polacy i Chrześcijanie w Hussakowie: Za czyn jednostki nie należy nigdy potępiać ogółu. Wszak wiadomo, że między dwunastoma Apostołami był jeden Judasz. Przy tem ostrzegamy, że na listach nie można podpisywać cudzych nazwisk, bo to może być niezdrowo. — St. Chojnacki w N.: 30 h. markami otrzymaliśmy, a więc gdy kalendarze będą gotowe, to jeden wyślemy. — Franciszek Gołąb w G.: Niestety, wyjątków nie robimy — kto chce dostać bezpłatnie kalendarz musi przysłać 4 kor. 30 h. przed świętami Bożego Narodzenia. — Kajetan Żytkiewicz w W.: Wierzymy w słowność, ale to panu nie zrobi różnicy, gdy pan kilka dni wcześniej przyśle. My, przy takim nawale pracy i zamieszaniu, jakie są przy zmianie roku, moglibyśmy o obietnicy zapomnieć, a potem miałby pan słuszny żal do nas, gdyby kalendarzy brakło. — Adam Ciechomski w Z.: Mamy nadzieję, że zyskamy w Panu stałego przyjaciela. — Wincenty Fornalik w P.: Za obietnice dziękujemy, a naszym prawdziwym przyjaciołom umiemy być wdzięczni. — Wiktor Izdebski w T.: Kto przed świętami Bożego Narodzenia nadeśle, ten kalendarz otrzyma. Gdy numera giną trzeba się na poczcie upominać, gdyż my regularnie wysyłamy. — Walenty Bliźniak w R.: Każdy, kto nadeśle prenumeratę całoroczną przed Bożem Narodzeniem otrzyma swój numer i będzie brał udział w losowaniu Podarków szczęścia, ale przed otrzymaniem prenumeraty numeru dawać nie możemy. — Jan Fryc w B.: Każdy nowy całoroczny prenumerator na 1911 r. będzie otrzymywał *Rolę* do końca bieżącego roku bezpłatnie, a więc i pan także.

Potwierdzenia prenumeraty:

52. Jan Kanty Dura z Ch. — **53.** Mrażek Wojciech z K **54.** Fyrzak Antoni z R. — **55.** Szymański Józef z B. d. — **56.** Hubicka z O. — **57.** Włodarczyk Stanisław z O. — **58.** Stec Franciszek z K. — **59.** Warywoda Józef z Z.

60. Zawada Józef z M. **61.** Ks. Tymieński Stanisław z P. — **62.** Duszewski Jan z B. — **63.** Nowak Jan z W. — **64.** Gracz Wacław z H. **65.** Zieliński Marcin z W. — **66.** Wąsacz Andrzej z S. — **67.** Kościelski Jan z M. — **68.** Ciepły Michał z B. **69.** Wilczeński Henryk z G.

70. Łukasiewicz Marcin z D. — **71.** Zięcik Wojciech z D. **72.** Wiśniowski Antoni z W. g. — **73.** Wiśniowski Józef z W. g. **74.** Maślanka Józef z Rz. — **75.** Hr. Romer z K. z. — **76.** Tercha Franciszek z B. — **77.** Sobowiec Czesław z D.-L. — **78.** Brania Feliks z Sz. — **79.** Szołdra Rafał z R.

80. Zemanek Jan z B. — **81.** Ks. Wrański Marcin z C. — **82.** Nosal Feliks z M. — **83.** Prokop Jan z R. — **84.** Ożóg Emil z W. s. — **85.** Kulas Michał z W. — **86.** Migała Michał z N. — **87.** Gurgul Jan z W. — **88.** Bodnicki Michał z B. — **89.** Kubisz Maciej z C.

90. Ks. W. Siedlecki z M. — **91.** Wł. Kępiński z M. — **92.** Warchoł Adam z Z. — **93.** Jakubiec Sebastyan z T. — **94.** Ks. Jan Koza z Ż. — **95.** Koza Stanisław z S. w. — **96.** Madeyski Roman z M. — **87.** Sikora Michał z G. — **98.** Ziober Władysław z M. — **99.** Ks. Kmietowicz Antoni z R.

100. Letner Józef z B. — **101.** Kurial Jan z S. — **102.** Bernas Piotr z W. — **103.** Byra Jan z Ch. — **104.** Kapela Walenty z T. — **105.** Szelaga Adam z P. — **106.** Rykała Jan z M. k. — **107.** Bieleń Andrzej z D. — **108.** Nisiewicz Jan z D. — **109.** Ks. Falkowski Czesław z Ch.

110. Hupka Włodzimierz z B. — **111.** Siemek Władysł. z L.— **112.** Welc Marya z M. — **113.** Koczabówna Ludwika z M. — **114.** Jan Kowalik z K. — **115.** Franciszek Zając z B. W. — **116.** Józef Wyczesany z W. — **117.** Jan Babula z W. — **118.** Jan Przebieglec z W. — **119.** Marcin Sypek z W.

120. Walenty Korpal z H. — **121.** Gustaw Polman z H. — **122.** Ks. Czesław Gniewek z K. — **123.** Błażej Kratka z L. — **124.** Zygmunt Raj z B. — **125.** Filip Niemczyk z J. — **126.** Ks. Franciszek Rosenberg z Cz. — **127.** Ludwik Musiał z K. — **128.** Józef Brykarz z P. — **129.** Ks. Władysław Szopski z K.

130. Walenty Pacześniak z D. — **131.** Józef Haracz z W. — **132.** Kajetan Węgrzyn z M. P. — **133.** Jakób Bieniek z O. — **134.** Stanisław Konopka z M. — **135.** Kółko rolnicze z Wieprza. — **136.** Józef Gąsior z S. — **137.** Karol Mieszczak z R. — **138.** Gadowski Aleksander z U. — **139.** Karol Gałda z P.

Oprócz tego nadesłali prenumeratę PP.: Szipień Józef z D. (1 K.), Stachura Walerya z T. (2 K.).

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Nadesłał Józef Kobylański z L.).

1	Litera.
8 5 2 9 10	Miasto w Galicyi.
1 11 5 3 11 12 10	Góry w Galicyi.
13 4 14	Zwierzę drapieżne.
5	Litera.
1 11 6 7 11	Ptak.
15 13 7 6 11	Rodzaj ziemi.
8 5 16 1 7 4 14	Jarzyna.

Środkowe litery czytane z góry na dół dadzą nazwisko największego astronoma polskiego.

2. ŁAMAGŁÓWKA.

(Nadesłał Józef Rydel z W. M.).

Z poniżej podanych części ułożyć 8 wyrazów, z których początkowe litery czytane z góry na dół dadzą miejsce, zaś końcowe nazwę miesiąca, w którym rozpoczęło się powstanie w 1830 r.:

Le, si, e, ni, e, mo, bal, cho, das, o, ry, wa, ra, szard, ski, ste, drop, let, e.

Znaczenie wyrazów: 1. Zabawa taneczna, 2. Mieszkańcy Grenlandyi, 3. Król spartański, 4. Figura w kartach, 5. Odbicie głosu, 6. Ptak błotny, 7. Bohaterka biblijna, 8. Imię sławnego króla angielskiego.

3. SZARADA.

(Nadesłał Wł. Lanoszka z S.).

Pierwsze - drugie: sąd zwykle dyktuje;
Drugie - czwarte: bolem się cechuje;
Pierwsze - trzecie: nazwa napoju dobrego;
Czwarte - trzecie: część domu Bożego.
Całość w pustyni znajdziecie,
Jeżeli tylko poszukać zechcecie.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Rozwiązania może nadsyłać każdy, lecz nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 3 grudnia b. r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 46 *Roli*: 1. Zagadka: **Kara-arak,** 2. Szarada: **Tulipany,** 3. Pytanie żartobliwe: **Parasolniczek,** 4. Szarada: **Kalendarz.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

Kara — nic dobrego —
Czeka ona niejednego —
Arak ją sprowadzić może
Lecz każdego ochroń Boże!

Tulipany, piękne kwiaty,
Lecz są piękne i bławaty,
Róże jeszcze ponętniejsze,
Bo z nich wszystkich najpiękniejsze.

Pieszczotliwie tu powiemy
Parasolniczek go nazwiemy,
Parasolki on naprawia
I z kłopotu nas wybawia.

Rola moja ukochana
Z ciekawością tu czytana,
Ja nadzieję mam niepłonną,
Że o *Roli* niezapomną;
Oni też mi gwarantują,
Że *Rolę* zaprenumerują,
Prenumeratę wnet wyszlemy
I kalendarz dostaniemy.

Jan Babula z W.

2.

Kara młodego nie psuje!
Arak pijaka rujnuje.
Lipa pięknie kwitnie w lecie,
Pany różne są na świecie:
Jeden pan dosyć bogaty,
A drugi ma same łaty,
Bo dziś takie prawo przecie,
Że każdy panem na świecie.
Sieją biedni, sieją pany
Koło okien tulipany.
I rzemieślnik panem będzie,
Póki wódki pić nie będzie,
Lecz, gdy kocha nałóg pijacki,
Będzie rzemieślnik partacki.
Kalendarz dostanę za to,
Gdy zapłacę na całe lato.
Roli cztery koron wyślę —
Redakcya kalendarz przyśle.
A ja za to obiecuję:
Czytelników dość zwerbuję,
Bo ich łatwo tak werbować,
Tylko *Roli* nietrza chować,
Lecz i innym czytać dawać
I do zapisania namawiać,
Bo wiem, że wszyscy przyznacie
Rola powinna być w każdej chacie,
Bo pisma tak pięknego i taniego
Niema na świecie drugiego.

Wincenty Cechowy z P.

3.

Kary ludzie się nie boją,
I arakiem wciąż się poją.
Nad astry, maki, bławaty
Mam piękniejsze w domu kwiaty
Zwią się one tulipany —
Z pośród innych jakby pany!
Parasolnik rzemieślniczek
Zrobi nam parę solniczek.
Gdy cztery korony *Roli* poślemy
Piękny kalendarz dostaniemy.
Teraz tylko Maćka Bzdurę
Nadzwyczaj proszę serdecznie
Abym dzisiaj już nagrodę
Mógł wylosować koniecznie.

Piotr Grodek z B.

4.

Pan Ćwieka dobrze powiada,
Że też kara nie przypada
Młodzieży do smaku.
A że wielu araku
Używa, o tem dobrze wiemy,
Bo nad takimi płaczemy...

Nasze piękne tulipany
Często zdobią ukochany
Domek polski, chatkę naszą,
Lub zagrodę... piękną, laszą.

Parasolnik jest i będzie
Rzemieślnikiem tu i wszędzie...
Przyzna mi to Maciek Bzdura,
Co go kocha kobiet chmura...

Każdy rolnik, czytelnik, kmieć,
Kalendarz *Roli* winien mieć,
Gdy chce po pracy, w niedzielę
Poznać rzeczy dobrych wiele,
Coś dowiedzieć się pięknego.
Więc też posyłam dlatego
Gotówkę Redakcyi kochanej,
A Redakcya z otrzymanej
Gotówki zadowolona,
(Nawet bardzo ucieszona),
Przyśle mi coś bardzo pięknego:
Kalendarz wyrobu krajowego.

Józef Kobylański z L.

5.

Wprost jest niemiła, nie lubią jej młodzi,
Bo też kara młodych ambicye zawodzi.
Na wspak używana przynęca każdego —
Arakiem nazwana zniszczy niejednego.

Maciusia z *Roli* »tu« zaproszę,
Gdzie wpośród woni lipa wyrasta,
I na cześć jego toast wzniosę,
Przy stole zdobnym w likiery i ciasta,
Robiąc huśtawkę z grubej »liny«
Zaprosimy także inne »pany«.
Chcąc widzieć jego rozkoszne miny
Ustroimy go też w »tulipany«.

Wiele na świecie jest rzemieślników,
Nie mniej też może »parasolników«.

»K« litera w alfabecie.
»Len« ujrzymy w polu w lecie.
Koron cztery wnet przyślemy,
I »kalendarz« dostaniemy.

Jan Śliwiński z B.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Stypa Tadeusz z T.: Franciszek Markiewicz z S., Franciszek Cyran z M., Franciszek Zyguła z Ł, Michał Dudek z Ż., Kazimierz Szymański z P., Jan Inglot z S., Stanisława Kowalska z K., Jan Łopatka z J., Adela Bezokówna z K. m., Józefa Hirszberg z K., W. Nowacki z Z., Aniela Muchówna z Ż., Adam Warchoł z Z., Jakób Paff z Ch., Władysław Bąbaś z H., Wł. Lanoszka z S., Karol Baron z P., Józef Gąsior z S., Dyonizy Klimkowicz z M. (wierszem), Leon Łętowski z S., Antoni Małecki z L., Józef Witek z S., Fr. Migdał z S., Mikołaj Wyżykowski z R.

Nagrodę wylosował p. **Antoni Małecki.**

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 22 listopada:

Buhaje	Kor.	120	do	200	za sztuk.
Woły	„	180	„	300	„
Krowy	„	180	„	216	„
Jałówki	„	80	„	200	„
Cielęta	„	18	„	75	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	150	„	160	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 22 listopada:

Pszenica	Kor.	10·25	do	10·80	za 50 kg.
Żyto	„	7·40	„	7·75	„
Jęczmień	„	7·50	„	8·—	„
Owies	„	7·75	„	8·—	„
Otręby pszenne	„	4·65	„	4·80	„
Otręby żytnie	„	4·55	„	4·60	„

BYŁO I ZNÓW BĘDZIE.

Żona: A wiec dawniej myślałeś, że jestem aniołem?

Mąż: Tak, to było przed ślubem...

Żona: Czy i teraz tak myślisz?

Mąż: Teraz, pocieszam się nadzieją, że kiedyś znowu będziesz aniołem...

— No, dobrze chłopcze, a teraz powiedz mi, co to jest małżeństwo?

— Pokuta!

— Pokuta? jakto? dlaczego?

— A bo tatuś, to teraz prawie codzień powtarza mamusi: Już ja odpokutowuję to moje małżeństwo.

ZNA JĄ DOBRZE.

Narzeczona z narzeczonym i matką przed klatką lwa:

Karolku, cobyś uczynił, gdyby lew wyłamał się z klatki i rzucił się na mamę?

Karolek: — Na to żaden lew się nie odważy.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.